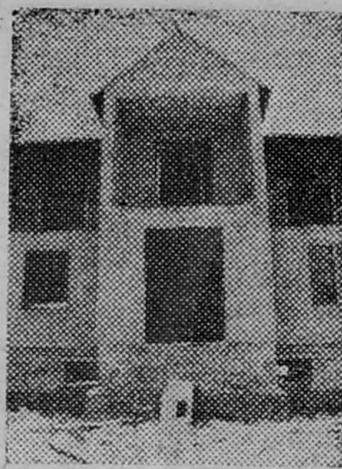




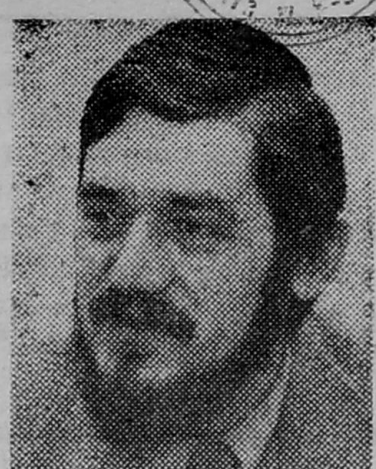
ciało nie
kłamie 3-4



dworek na
licytacji 5



sadyśta 6



fotel na
miliardach 7



zstępowa-
nie do
grobu 11

KONTAKTY

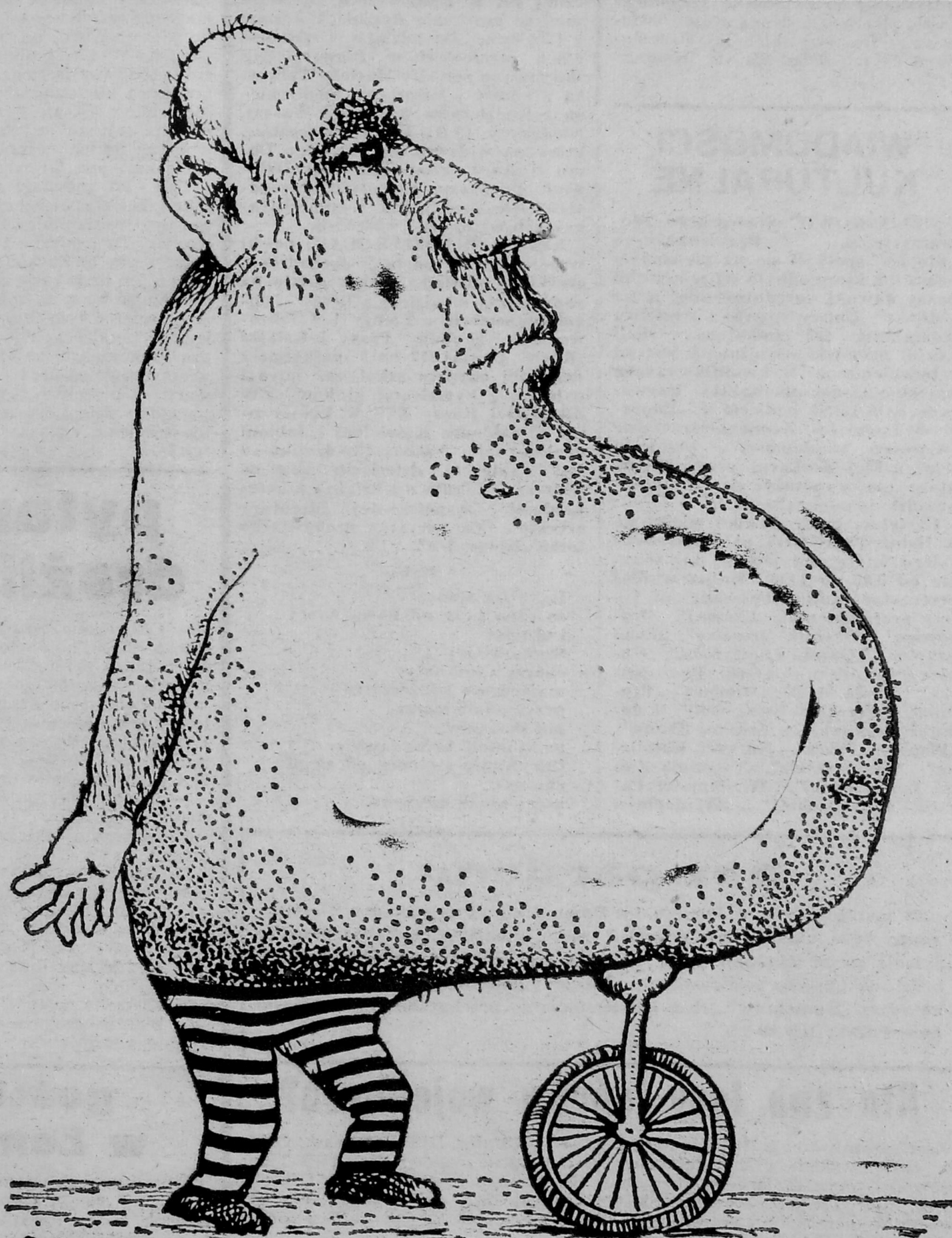
ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

12

(127)

KONTAKTY
20 III 83 r.

Cena
10 zł



Podulka

brzuchacz obżartus

Przedziwna postać z ogromnym tłustym brzuchem, wozonym na specjalnym wózku-podpórcie. Z powodu coraz większej ilości plam na słońcu naszej rzeczywistości brzuch Brzuchacza Obżartusa zaczął maleć, aż znikł zupełnie. W tej chwili pełna nazwa tego gatunku, przechodzącego procesy przystosowania się do nowych warunków, brzmi: Brzuchacz Obżartus z grupy kartkowców zwyczajnych.

ADAM JERZY
SOCHA

przez bufet i na krzyk

Rozłożył przede mną — złożoną we czworo — kartkę jak Mojżeszowe tablice. Drukowanymi literami spisał w dziesięciu punktach „Regulamin wyborów wiejskich”. W tym geście był Kopernik wstrzymujący słońce i Monteskiusz ustalający podział władz.

— Czy redakcja zechciałaby przeprowadzić sondę w mojej wsi na temat tego regulaminu? — zapytał. — Widzę potrzebę zorganizowania ludzi do pewności siebie, w duchu sprawiedliwości.

Madecki wzenił się w podłomżyńską wieś siedem lat temu. Chłopak miastowy, „tłukący latami łomżyński bruk”, był bardzo zaskoczony tym, co działo się, a właściwie — nie działo się w Kupiskach Starych. Od starych mieszkańców słyszał nieraz, jaka to kiedyś była tutaj wysoka kultura.

— Wierzyć się nie chce, że ludzie w taką ciemnotę teraz popadli — mówi.

On, „przywłoka”, jak mówią we wsi na przybyszów, ma ambicję obudzić do czynu wspólnotę wiejską. Zona Madeckiego studzi jego zapał: — Zdepczą ciebie i nas.

Przed trzema laty zaczął walczyć o wyjaśnienie sprawy nielegalnej sprzedaży działek należących do szkoły. Złożył w gminie protokół: „Proszę wstrzymać budowę i udzielić odpowiedzi wspólnotie”.

— Jest klika, brutalnie mówiąc — stwierdza gniewnie.

Długo głowił się, jak zlu zaradzić, żeby wieś „nie zbierała tegiej chłosty za rosnące w polu osty”. Odwołał się do wiedzy ojców, którzy mieli mawiać: „Nie masz jak to w demokracji”. A demokracja to wybory. A wybory — snuł logicznie — to właściwy człowiek na właściwym miejscu. Dlatego spisał regulamin, bo we wsi, a także i gdzie indziej, nie spotkał się z wyobrażonymi przez siebie wyborami. U nich sekretarz gminy powiedział tylko, że 51 procent wyborców ma być.

CIĄG DALSZY NA STR. 8-9

polskie duszki Andrzeja Podulki

W NASTĘPNYM NUMERZE: „Niezgoda buduje” — dyskusja panelowa w redakcyjnym klubie „Starcia” o roli krytyki, „Grzesznica bez winy” po zabiciu własnego dziecka, „Ostatnia manufaktura” w łomżyńskiej scenerii, „Siedzą na obłoku” — z dyplomem w garści, „Fiskus na tropie „kominiarzy” po reorganizacji aparatu finansowego, „Zaryzykujemy raz jeszcze” — apeluje szef TWR PRON. A także: „Wiźniana”, reminiscencje z obchodów kobiecego święta, „Epitafium dla cmentarza” żydowskiego, „Jak zważyć dąb” i inne ciekawostki.

CZŁONKOWIE EGZEKUTYWY KW PZPR i Prezydium WK ZSL spotkali się, by omówić szczegóły organizacyjne wspólnego plenum, które odbędzie się za dwa tygodnie, 31 marca. Przeanalizowano też i po poprawkach przyjęto referat wprowadzający.

**WOJEWÓDZKI KOMITET OBRO-
NY** ocenił sytuację gospodarczą województwa. Zadowolające wyniki osiąga przemysł oraz budownictwo, które mimo trudności materiałowych wykonało o 42,2 procent więcej prac budowlano-montażowych niż w roku ubiegłym. W 1982 r. nastąpił też znaczny wzrost (o 13 proc.) budownictwa indywidualnego (ogółem 2303 budynki mieszkalno-gospodarcze), przy czym 92 proc. kubatury to budownictwo wiejskie.

KOMISJA IDEOLOGICZNA KW PZPR po kontroli 41 szkolnych POP i 5 działających w środowiskach kulturalnych stwierdziła, że szkolenie polityczne w tych zbiorowościach nie jest zadowolające. Siedem POP nie prowadziło ich wcale, siedem zrealizowało po jednym temacie, nie jest też najlepiej z poziomem tych szkoleń. Komisja sformułowała stosowne zalecenia.

W **OGNIWACH PRON** toczy się dyskusja nad projektem zasad statutowych i deklaracji. Do 21 marca zakończy się zebrania lub zjazdy gminnych OKON-ów, na których wybiera się również uczestników I Zjazdu Wojewódzkiego (28 marca w Łomży) oraz konsultuje kandydatów na Kongres.

INGRES NOWEGO BISKUPA ordynariusza, ks. dr Juliusza Paetza do katedry łomżyńskiej zgromadził tłumy wiernych z diecezji łomżyńskiej. Klucze do katedry nowemu ordynariuszowi wręczył ks. proboszcz Eugeniusz Chyliński. Księża i wierni złożyli biskupowi ordynariuszowi hołm.

SWOISTYMI BESTSELLERAMI stały się w gminach listy przydziałów maszyn rolniczych: przy ich wywieszaniu cudem tylko nie przesuwają się ściany. Namętne dyskusje po lekturze nie kończą się w gminach. Pisemne i ustne opinie oficjalnie spływają do różnych instytucji wojewódzkich.

WIOSNA ROLNICZA zaczyna się lada dzień. Ilość nasion zbóż jarych i roślin pastewnych jest wystarczająca. Równie dobre i pełne jest zapatrzenie w nawozy, których jednak rolnicy nie kupują w pożądanym ilościach (zaledwie 40 proc. planu sprzedaży). O większym zainteresowaniu hodowlą, trzody chlewnej świadczy obniżenie wolnorynkowych cen zboża i jednocześnie ich wzrost na prosięta i warchlaki. Mimo niezadowolnienia WKO z niepełnej gotowości maszyn i urządzeń rolniczych do prac wiosennych, zarząd WZKRIOU uważa, że przygotowanie sprzętu jest lepsze niż w ub. roku, gdyż więcej jest części zamiennych.

WICHURY SZALAŁY w Łomżyńskim. Zaczęło się 7 marca, o drugiej w nocy. O 15.00 uszkodzonych było 37 głównych linii i 1558 stacji, wyłączone 70 proc. urządzeń energetycznych. Pozbawionych światła zostało 40 proc. większych miejscowości. Wiatr połamał 24 słupy, 40 drzew, zerwał kilkadziesiąt przewodów. Skutki wichury odczuło 180 wsi. Straty materialne szacuje się na około milion złotych. Wszystkie awarie usunięte zostały w ciągu niespełna tygodnia.

280 GODZIN pracy opuszcza w roku, z powodu choroby, statystyczny pracownik odlewni Fabryki Aparatury i Urządzeń Komunalnych w Łomży. Mniej chorują w zakładzie metalowym — 130 godzin, a przeciętna w przedsiębiorstwie wynosi około 180 przechorowanych godzin.

DZIWNIE, lecz prezes łomżyńskich Zakładów Spożywczych też nie chce się przyznać do wysokich zarobków w jego spółdzielni. Jeszcze niedawno zakłady chwaliły się tym, że dobrze płaca pracownikom, czyżby teraz się tego wstydzili?

W **GRAJEWIE** oddano do użytku drugą aptekę na osiedlu Waltera. Dobiega końca budowa hotelu PBRol, w którym już zamieszkał junacy z OHP oraz restauracji i kawiarni.

CZY KAWA BĘDZIE dostępna jedynie w kawiarniach czy... na recepty — jeszcze nie wiadomo. Jest natomiast pewne, że w najbliższym czasie będzie jej tak mało, że nie warto liczyć na kupienie jej na kartki.

BUDYNIE, GALARETKI I KISIELE, których od wielu miesięcy nie ma w sklepach pojawiły się w łomżyńskich „Delikatesach”, ale tylko na zaświadczenie lekarskie. Ścisłej mówiąc, są one przeznaczone dla dzieci cierpiących na chorobę trzewną. „Sanepid” wytypował kilka sklepów w województwie do prowadzenia sprzedaży artykułów bezglutenowych.

WALENTY CHOJNOWSKI, najstarszy mężczyzna województwa mieszkający we wsi Dłużniewo, gmina Łomża, skończył w tym tygodniu 105 lat. Szanowny jubilat do dziś dobrze pamięta rewolucję 1905 roku, odzyskanie przez Polskę niepodległości, pierwszą i drugą wojnę światową. Do wszystkich już otrzymanych życzeń dołączają się „Kontakty”.

WIADOMOŚCI KULTURALNE

CZŁONKOWIE Społecznego Stowarzyszenia Prasoznawczego „Stopka” spotkali się na plenarnym zebraniu, które odbyło się w czytelni prasy dawniej, zorganizowanej przez „Stopkę”. Dalszy rozwój i właściwa działalność tej (unikalnej w skali kraju) placówki uzależniona jest od zapewnienia jej wykwalifikowanego pracownika-dokumentalisty. Rozważane było także podjęcie działalności wydawniczej. Zamierzenia realne — wobec wiadomości o przejęciu łomżyńskiej drukarni przez RSW, które ma wyposażyć ją w nowe urządzenia poligraficzne.

Czytelnia prasy dawniej mieści się w Domu Prasy przy ul. Świerczewskiego 7. Czynna jest w dni robocze od 9.00 do 15.00. Można w niej przeczytać z mikrofilmowane już tytuły przedwojenne: „Czuwaj”, „Drogość”, „Drobnik Szosowy”, „Echo Szkolne”, „Gazeta Łomżyńska”, „Goniec Pograniczny”, „Gość Puszczański”, „Młoda Myśl”, „Młodość”, „Promień”, „Przegląd Łomżyński” (i dodatki: „Iskierki”, „Szkłane Domy”), „Wspólna Praca”, „Sprawa Katolicka”, „Seminarzysta”, „Tygodnik Ziemi Łomżyńskiej”, „Wiadomości Parafii Łomżyńskiej”, „Wiadomości

Kościelne Diecezji Łomżyńskiej”, „Przegląd Ostrołęcki”.

DO DOBREJ TRADYCJI Łomżyńskiego Towarzystwa Muzycznego należy organizowanie na przełomie lutego i marca popisu uczniów Społecznych Ognisk Muzycznych. Tegoroczny popis zgromadził 41 młodych (niekiedy zaledwie sześciolletnich) wykonawców z Gródów Wonięckich, Grajewa, Stawisk, Zambrowa i Łomży. Cieszy fakt, że — poza zainteresowanymi — byli na sali inni słuchacze. Szkoda tylko, że nie zauważono wśród nich nauczycieli muzyki z licznych łomżyńskich szkół, nie wyłączając muzycznej.

GRADY DUŻE i Grady Małe, dwie wsie w gminie Jedwabne, dzieli droga. Łączył je Klub Prasy i Książki „Ruch”, ale przestał, kiedy po remoncie remizy, w której się mieścił, strażacy odmówili placówce lokalu, a naczelnik gminy dzierżawę pomieszczeń w prywatnym domu, gdzie przeniesiono klub na czas remontu. Została jedynie droga jako miejsce kulturalnej edukacji dla wszystkich mieszkańców obu wsi, z wyjątkiem kilku strażaków.

KONKURS PIOSENKI RADZIECKIEJ odbywa się po raz 22. Zakończyły się eliminacje wojewódzkie. Jury pod kierownictwem Janusza Papaja, kierownika Redakcji Muzycznej PR w Białymstoku, pierwsze miejsce przyznało Reginie Witostaw z Grajewa. Do udziału w eliminacjach „strefowych” w Inowrocławiu skierowano ponadto Mariolę Walkuską z Łomży i Mirosława Siedleckiego z Kędzierowa w gminie Wąsosz. Niedzielnym (13 III) koncert laureatów, który na widowni grajewskiego Domu Kultury zgromadził tłumy młodych słuchaczy, nświetlili przedstawiciele partyjnych i administracyjnych władz wojewódzkich.

NIKOS CHADZINKOLAU, polski współczesny poeta pochodzenia greckiego odwiedził województwo na zaproszenie młodzieży z liceów ogólnokształcących z Łomży i Zambrowa oraz Klubów Prasy i Książki „Ruch”. Dzisiaj (17 III) spotka się z uczniami obydwu szkół, zaś jutro i pojutrze z bywalcami klubów ZW ZBoWiD i Bursy ZSE w Łomży oraz w Jabłonce Kościelnej i Jabłoni Jankowcach. Nikos Chadzinikolau jest autorem dziesięciu zbiorów wierszy i kilkunastu książek z przekładami współczesnej literatury greckiej. Oto wiersz z najnowszego tomu „Klepsydra”.

Itaka

Itaka jak słońce
co rano uczy od nowa wiary
i ufności
Szukamy jej
chorzy z tęsknoty,
mającymi jak żeglarsze
przykuci do morza,
jak skazańcy,
po których Agros zawyje.
Odrzucamy się nocą od ziemi
chmura,
która szuka ojczyzny.

bez pardonu

28 marca o 16.30 w kolneńskim Domu Kultury mieszkańcy miasta i gminy będą mieli okazję wywołać trudne problemy, postawić drażliwe pytania swym władzom. Tych, którzy nie lubią pytać oświadczyć lub nie będą mogli być na tym spotkaniu prosimy o nadsyłanie zapytań listownie na adres „Kontaktów” lub o ich telefoniczne przekazanie na łomżyński numer 42-43 (lub 40-22).

Kto zna losy jeńców wojennych?

Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Zielonej Górze prowadzi prace mające na celu należyte poznanie i opracowanie losu jeńców w niemieckiej niewoli na terenie berlińskiego II Okręgu Wojskowego Wehrmachtu. Na terenie tym znajdowały się następujące obozy jeńcze: Stalag IIIA Luckenwalde, Stalag IIIB Furstenberg (z filią a Amitz — Gębice koło Gubina), Stalag IIIC Alt Drewitz (Stare Drzewice koło Kostrzyna n/Odrą), Stalag IIID

Berlin, Stalag IIIE Kirchhain, Oflag IIIA Luckenwalde, Oflag IIIB Tibor (Cibórz koło Świebodzina), Oflag B Lubben (Sprowald), Oflag Wutzetz uber Friesack.

Prosi się wszystkich byłych jeńców wspomnianych obozów i osoby, które mogą udzielić informacji na ten temat o pisemne zgłoszenie na adres: Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich, 65-069 Zielona Góra, pl. Słowiański 1.

zdanie tygodnia

Jeśli chcemy się zmienić, musimy najpierw przejść etap destrukcji — zburzyć dotychczasowe wyobrażenie o sobie.

(plk dr Ryszard Banajski)

myśl z atestem

Cywilizacja to nieograniczone mnożenie niepotrzebnych konieczności.

(Mark Twain)

PUNKT WIDZENIA

nie kończy na gadaniu

Kazimierz Uszyński, dyrektor Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu; członek Tymczasowej Rady Krajowej PRON: — Na temat dotychczasowej działalności PRON-u zdania są podzielone. Jedni twierdzą, iż tak poważny ruch winien zająć się problemami generalnymi — uporządkowaniem kwestii społecznych i gospodarczych, inni, że zacząć należy od małych, przyziemnych spraw, które sprawiają na co dzień największe kłopoty. I jedni, i drudzy mają sporo racji, dlatego Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego, już od pierwszych dni swego istnienia, padł się sztuki wypracowywania zasad chroniących nasze społeczeństwo przed ewentualnymi przyszlizgami kryzysami. Aby jednak stały się one faktem, powinniśmy przede wszystkim lansować starą prawdę, iż za dobre należy nagradzać, a za złe — karać. Wszyscy się z tym zgadzamy, a tyle na każdym zakręcie wylewamy słów i krokodylich łez na temat sprawiedliwości społecznej. Zaczniemy budować ją, a raczej rekonstruować (bo ona była i jest, tylko nie wszędzie) od uczciwej pracy każdego z nas i dbajmy o to, aby sprawiedliwie ją nagradzać. Jest to podstawa ku temu, aby się wzajemnie szanować, ale i rozliczać, ile w naszym sojuszu jesteśmy warci i ile wnosimy do tego wspólnego obowiązku, jakim jest Ojczyzna.

Tyle lat mówimy o alkoholizmie jako pladze społecznej. Istnieją nawet przeciwalkoholowe komitety społeczne. Tu i ówdzie twierdzi się, że rozpija nas to Zachód, to Wschód, a w każdym bądź razie zawsze próbuje się rzucić winę na kogoś z zewnątrz. A przecież o tym, kto prowadzi nielegalny handel wódką, najlepiej wiedzą funkcjonariusze MO. My o tym wiemy również, lecz — często z wygody — przechodzimy nad tym do porządku dziennego uczając w sobie sumienie i słuszny bunt obywatelski.

pytanie drażliwe

— Odnowione, potrójne-S łomżyńskiego PKS-u objawiło się m.in. tym, że od czasu przejęcia przezeń przedsprzedaży biletów możliwy jest wyjazd z Łomży, ale już powrotnego biletu kupić nie można. Dlaczego?

Odpowiada Włodzisław Lach, wicedyrektor PKS — Od 1 kwietnia będzie już można.

— Czemu więc, odbierając przedsprzedaż „Orbisowi”, nie zapewniłście podróży takiej szansy od początku?

— Nie było wiadomo, kto będzie prowadził przedsprzedaż w Warszawie. Ostatecznie utrzymał to „Orbis”.

— A poczekalnia dla matek z dziećmi w nowej siedzibie?

— Będzie, jak dostaniemy obiecaną całą halę.

— Kiedy to nastąpi?

— Władze miejskie nie podały dokładnego terminu.

gościli w Łomży

Nuncjusz papieski, arcybiskup Luigi Poggi; księża prałaci z Rzymu; członek Rady Państwa, przewodniczący ChSS Kazimierz Morawski; prezes Polskiego Związku Katolicko-Społecznego Janusz Zabłocki; wiceprzewodniczący Zarządu Stowarzyszenia PAX Maciej Wrzeszcz — na uroczystości wprowadzenia nowego biskupa ordynariusza do katedry łomżyńskiej.

Plk dr Ryszard Banajski z Akademii Spraw Wewnętrznych w Warszawie — z wykładem „Jak żyć godnie” wygłoszonym w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej.

Kazimierz Koźniewski, redaktor naczelny „Tu i Teraz”, Zygmunt Szeliga, z-ca redaktora naczelnego „Polityki” i doc. dr hab. Adam Dobroński z FUV w Białymstoku — na dyskusji „Społeczna rola krytyki”.

Redaktorzy „Warmii i Mazur”, Wacław Kapusto i Stanisław Wieczorek zbierający informacje o Święcie Kultury Staropolskiej.





W dniu 5 III br. gościła w Łomży Olsztyńska Pantomima Głuchych. Rozmowę z jej dyrektorem zamieściliśmy na str. 4.

Fot. Gabor Lörinczy.

— Jest to pierwsza wizyta Olsztyńskiej Pantomimy w Łomży. Tutaj wiedza o zespole i Panu jako twórcy, nawet w kręgach tzw. inteligencji, jest znikoma. Teatr głuchych dla większości widzów to nadal tylko intrygujące curosum. Z pewnym zdziwieniem stwierdziłem również brak hasła „Głuszcak” oraz „Pantomima Głuchych” w „Słowniku współczesnego teatru”.

— W Amerykańskiej „Encyklopedii teatru” to hasło jest, a także figuruje w opracowaniach UNESCO. W Polsce krytycy teatralni nie bardzo wiedzą, jak nasz teatr zakwalifikować, a ponadto chyba wstydzą się pisać o nas, bo to i głusi, i amatorzy... Co prawda prasa dość często poświęca uwagę Pantomimie, lecz żaden krytyk nie opisał solidnie tego zjawiska. Nawet tak poważny człowiek, jak Kazimierz Braun, pisząc o rehabilitacji, psychodramie i teatrze otwartym na świecie, wylicza grupy francuskie, angielskie... i między nimi, jako „przypadek”, wymienia Pantomimę Głuchych. A ten „przypadek” powstał w 1957 roku, podczas gdy „przypadki” zagraniczne — dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych. Bardzo znany artysta, gdy usłyszał, że przyjedzie Pantomima Głuchych, powiedział: „Koniec świata, to już głusi też do teatru włączają?” A przecież Goya i Beethoven tworzyli mimo utraty słuchu!

— Czy zespół nie jest po trochu sam sobie winien? Złośliwi mówią, że jest to jedyny „towar eksportowy” miasta nad Łyną.

— Jest towarem eksportowym, ale nie tylko Olsztyna, lecz całej Polski. Od roku 1975 zespół wyjeżdżał 12 razy na zagraniczne tournée, uczestniczył w festiwalach teatrów i głuchych, i otwartych, zdobył liczące się nagrody. My się wolimy chwalić sukcesami zagranicznymi, bo tylko takie znajdują uznanie w kraju. Po 25 latach istnienia zespół doszedł do dużej rangi artystycznej. Olsztyńska Pantomima dała początek ruchowi teatralnemu wśród głuchych na świecie. Powstało kilka teatrów profesjonalnych. Finałem tych poczynań było przystąpienie ich do ITI (Międzynarodowy Instytut Teatralny).

— Dlaczego Pan, po tak długiej działalności, nie przeszedł z zespołem na zawodowstwo?

— Mogłbym sprofesjonalizować zespół, tylko po co? Dlaczego nie może istnieć takie zjawisko, jak ansambl nieprofesjonalny, i dlaczego nie ma on mieć swojej wysokiej artystycznej rangi? Teatr robotniczy czy włościański ma w Polsce długą tradycję.

— Czym dla Pana, jako Bohdana Głuszcaka, jest Pantomima Głuchych?

— Jest to rodzaj hobby i... poszukiwanie własnego miejsca na Ziemi. W tej formie mam wielką swobodę twórczą. Nikt nie każe mi w ciągu czterech tygodni zrobić „Hamleta”. Dzieło dojrzewa w pracy scenicznej, bo nie ma administracji, walki o podwyżki, o normy. Aktorzy przychodzą bez listy obecności na próbę, a jest tych prób około 220 w ciągu roku. W nagrodę wyjeżdżają do innego miasta, za granicę, i w ogóle mogą występować.

— Czy mim-głuchy nie ma ułatwionej roli w pantomimie? Język ciała jest przecież jego naturalną mową.

— Głuchy ma inną spostrzegawczość. Każde doznanie emocjonalne może wyrazić tylko ciałem i on tego organicznego wyrażania się nie wstydzi. Człowiek słyszący otrzymał słowo. Przyjęte zasady obyczajowe nakazują mu schować to, co jest naturalne i organiczne, więc kiedy wypowiada np. „kocham” nie wolno mu się demaskować.

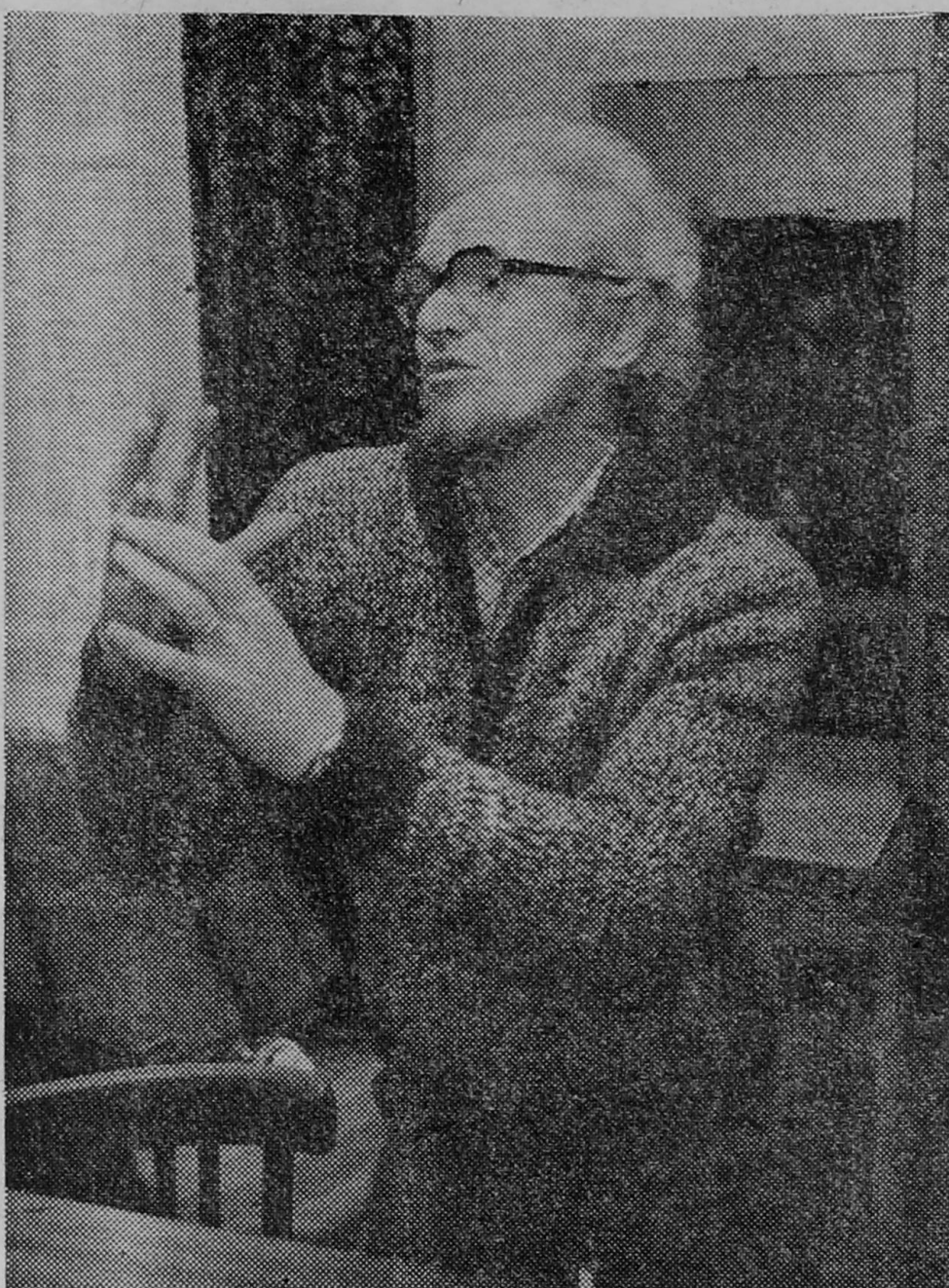
— Czym Pan woli się posługiwać: gestem czy słowem?

— Porozumiewanie się ze światem ludzi niesłyszących jest prostsze, bo dotyczy spraw podstawowych. Ciałem nie można kłamać. Głuchy mówi: „Po co pytasz, jeżeli widać”.

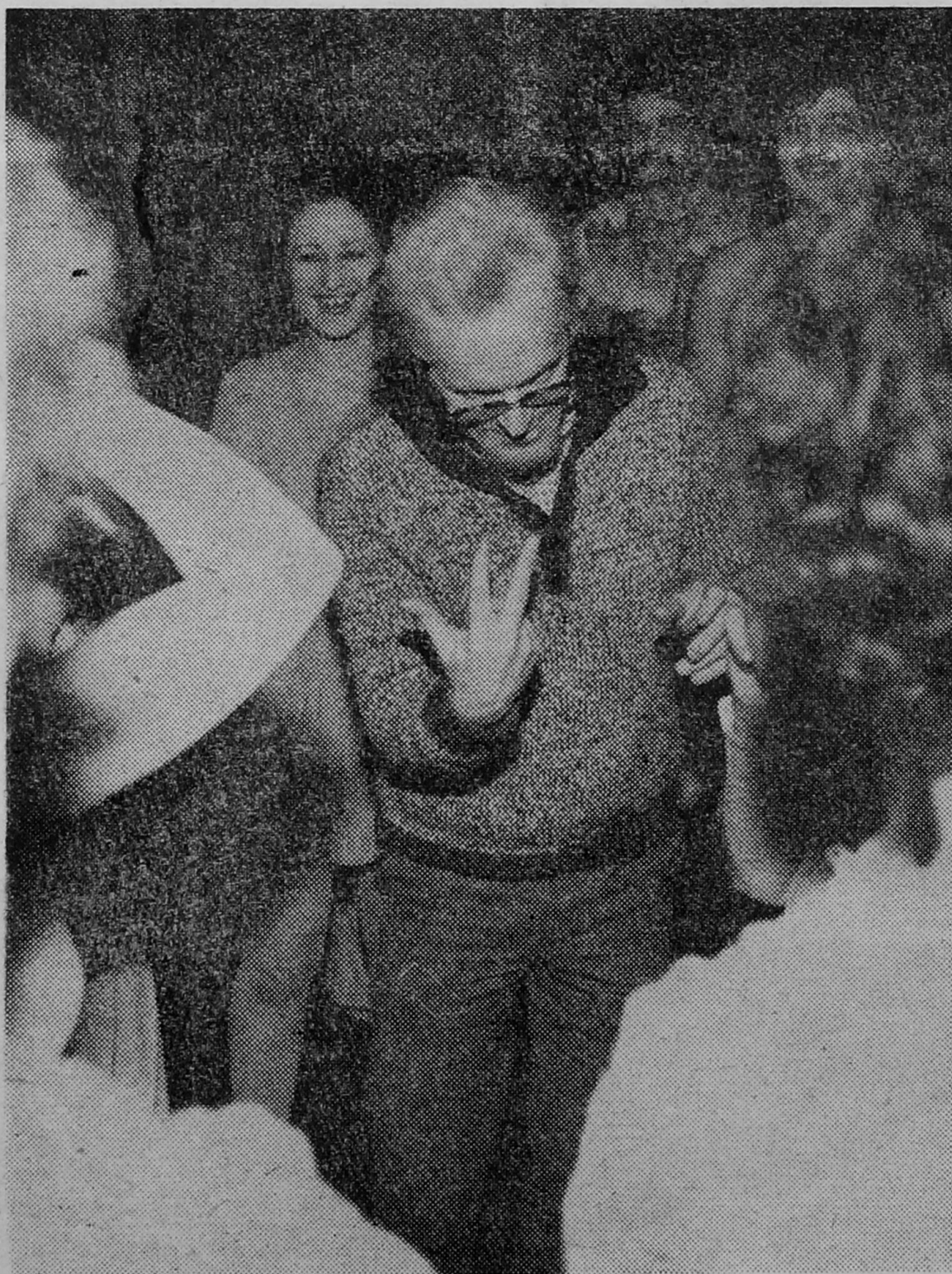
— Czy nowomowa, belkot językowy, ma swój odpowiednik w języku mimów?

— Kiedyś, przy pomocy tłumacza, wysłuchali pewnego politycznego przemówienia i wydało im się ono bardzo śmieszne. Głuchy w każdym zdaniu umieszcza podmiot, a w tym przemówieniu ani razu podmiot nie wystąpił tylko zestaw intencji: „chcielibyśmy”, „zrobilibyśmy”.

Z Bohdanem Głuszcakiem
rozmawia Adam Jerzy Socha



ciało nie kłamie



Ponadto w ich języku występuje skrajność ocen. Człowiek jest albo dobry, albo zły. Pewien dyrektor zawsze dobrze mówi o Pantomimie, więc władze uważają, że jest „dobry”, ale zło czyni jej członkom, więc aktorzy mówią o nim: „fałszywy”.

— Czy każdy głuchy, który się zgłosi, zostaje automatycznie przyjęty do zespołu?

— Każdy. Selekcja następuje organicznie. O sprawie naboru decydują sami głusi. Oni przyprowadzają, oni też tłumaczą, że ktoś się do tego nie nadaje. Uważam, że ja nie mam prawa selekcjonować. Sięgam tylko po środki dyscyplinarne, gdy są ewidentne wykroczenia natury pozateatralnej.

— Ile osób przeszło przez teatr?

— Myślę, że z 200. Obecna grupa (11 osób) trzyma się 10 lat. Niektórzy pracują już po lat 25.

— Bardzo przeżywają odejście?

— Oni mówią, że to normalne. „Stary jestem, już mi ciężko”. Ale najczęściej są to sprawy natury osobistej, a nie wiekowej. Ktoś chce się zająć domem, inny wybrał szachy.

— Pantomima Głuchych jest jedyną znaną mi ilustracją marksowskiego marzenia, by robotnik do południa był twórcą, a po południu twórcą: poetą, malarzem...

— Nie byłaby jedyną, gdyby ktoś nie wymyślił, że w Polsce należy zlikwidować ruch amatorski jako nieopłacalny. Stało się to w roku 1956. Do dziś pokutuje przekonanie, że „tylko na dobrze prosperującej bazie ekonomicznej możemy sobie pozwolić na luksus kultury”. Żeby podnieść bazę ekonomiczną i kulturę polityczną upadającego państwa w dobie oświecenia, przystąpiono przede wszystkim do rewolucji oświatowej i kulturalnej. A dziś czytamy, że na skutek reformy gospodarczej zakłady pracy ograniczyły finansowanie domów kultury. W pierwszej kolejności zwolniły instruktorów ruchu amatorskiego. Kto został? Administracja i „upowszechniacze z awansu” którzy nie mają zielonego pojęcia o sztuce.

— Pantomima przyjechała do Łomży z chyba najczęściej granym przez zespół spektaklem. Oglądałem „Apokalipsę” już po premierze, w roku 1973. W maju br. dzieło to będzie obchodzić jubileusz 10-lecia obecności na scenie. Czy dzisiaj „Apokalipsa” niesie to samo przesłanie, co w chwili premiery?

— „Apokalipsa” jest spektaklem wygodnym pod każdym względem. Można go zagrać w zborze protestanckim, w kościele katolickim, w bramie, na sali gimnastycznej. Jej przesłanie jest uniwersalne i takie pozostanie. Zabijanie się w imię nawet najświatlejszej idei pozostanie, w ocenie moralnej, jedynie zabijaniem człowieka przez człowieka. Nie ma mordu sprawiedliwego i niesprawiedliwego. Tak mogą rozważać jedynie politycy i sędziowie, ale nie twórcy. Politykowanie sztuce szkodzi, spłaszcza ją, zuboża. Niestety zbyt wiele dzieł powstało na tak zwane zamówienie polityczne. Ich twórcami byli najczęściej koniunkturaliści, ludzie niewysokiego lotu artystycznego. Jan Nepomucen Kamiński trafnie powiedział: „Gdybym był mistrzem cechów wolnych, nikt by mi nie odebrał mistrzostwa, ale ja jestem mistrzem cechu sztuki, każdemu partolici go wolno”.

— Jak dalece Pana wizja tego spektaklu pokrywa się z wizją zespołu?

— Zilustruję to panu przykładem. Ja poszczególne części nazwałem wg Dürera: „Klucze otchłani”, „Wybrańcy niebios” itd. Głusi mówią: I — „Adam i Ewa”, II — „Wojna”, III — „Hiroshima, czyli bomba atomowa”, IV — „Oświecim”.

— Jest Pan twórcą Pantomimy, autorem wszystkich spektakli (oprócz jednego). Mamy więc do czynienia z teatrem Głuszcaka, z wszystkimi tego konsekwencjami artystycznymi i pozateatralnymi. Co się stanie z zespołem, gdy Pana zabraknie?

— Zdarzają mi się okresy znużenia, czasami nawet buntu: czy ja jestem na to skazany? Dlatego zaangażowałem młodego człowieka po Wydziale Reżyserii Warszawskiej Szkoły Teatralnej, któremu stopniowo chcę teatr przekazywać. Usiłuję go przekonać, by został moim następcą.

— Życzę zespołowi po dzisiejszym spektaklu wielu przyjaciół w Łomży. Zapraszamy z „Bankietem”.

Drozdowo, urokliwa wieś podłomżyńska o przebogatej historii, miała — dzięki pomysłowi byłego wicewojewody, Kazimierza Czapki — zacząć znów coś znaczyć na kulturalnej mapie Polski. Wieś słynęła bowiem onegdaj nie tylko z przodujących gospodarstw, browaru, dobrej wody i klimatu, ale także z niepospolitych ludzi: wybitnych muzyków i filozofów, nietuzinkowych poetów i światłych rolników.

Kazimierz Czapka postawił na literatów. Wizja „wioski literackiej” wydawała się zrazu utopijna, mimo to ściągnęła do Łomży kilku twórców. Wkrótce w Drozdowie wyrosły „szlacheckie dworki” i obszerne, nietypowe chaty. Artysci okazali się jednak dość typowi i, oprócz Henryka Gały, twórczej inspiracji woleli szukać w obłokach papierosowego dymu warszawskich kawiarni. Nie przekonywała ich nawet, jakoby realna, perspektywa uczynienia z (restaurowanego od kilku lat) drozdowskiego pałacyku Domu Pracy Twórczej. Związek Literatów Polskich zdążył już nawet w listopadzie 1981 roku podpisać z Urzędem Wojewódzkim w Łomży stosowny dokument na tę okoliczność.

Zakończenie remontu dworku przewiduje się na koniec tego roku, a już dzisiaj nęka władze łomżyńskie nowy kłopot: zawieszony został w działalności sygnatariusz umowy — Związek Literatów Polskich, nie ma więc kto wspierać (przede wszystkim — finansowo) funkcjonowania takiej placówki. Zabytkowy obiekt chętnie przejąłoby Ministerstwo Kultury i Sztuki, ale pod warunkiem, że wszystkie muzy byłyby w nim jednakowo hołubione.

Zamysł ten spotkał się jednak ze zdecydowanym oporem „regionalistów”, którzy nie dostrzegają korzyści w fakcie zaludnienia dworku artystycznym światkiem. Mówią oni: „Niech tworzą i odpoczywają w bogatszych województwach. My mamy za mało obiektów dla naszych potrzeb kulturalnych”. Przy takim widzeniu sprawy koncepcja Domu Pracy Twórczej pewnie by upadła, gdyby nie fakt, że zainteresowało się nią Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL, które wkrótce podejmie rozmowy z władzami województwa.

Opuścił Łomżę autor pomysłu utworzenia „wioski literatów”, a i niektórzy literaci zaczęli chyba wkrótce sprzedawać swe posiadłości. Obecnym wicewojewodą, Eugeniuszem Mioduszeńskim, targają dwie dusze — mecenasa kultury i opiekuna służby zdrowia. Poszerzenia wymaga bowiem zarówno dominium dyrektora Janusza Bernera, jak i dr. Konstantego Znoski. Dyrektor Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej przyjąłby ten prezent bardzo chętnie. Już nawet w telewizji ktoś opowiadał, że będzie się tam mieścić dom pomocy dla nieuleczalnie chorych, a więc dla starszków lub głęboko upośledzonych dzieci. Faktycznie: i jedni, i drudzy bardzo potrzebują lokali, ale dworek jest zupełnie nieprzystosowany do pełnienia takich funkcji. Watpliwe, by Sanepid zaakceptował ten pomysł bez bardzo poważnych przeróbek siedziby. Ponadto zmieściłoby się tam jedynie dwudziestu pensjonariuszy, więc czy na pewno opłaciłyby się tak wysokie nakłady i utrzymywanie sporego personelu?

Niektórzy wyliczają wprawdzie, że upchałoby się tam 70 osób, gdyby je poukładać na piętrowych łózkach. Więc może otworzyć dom spokojnej starości dla sprawnych starszków? Tylko kto da gwarancję, że nie zasną z dnia na dzień — bez uprzedzenia?

To prawda, że województwo opiekę nad ludźmi niepełnosprawnymi i upośledzonymi mocno zaniedbało, a powstająca placówka w pałacyku w Tarnowie koło Miastkowa pomoże jedynie 40 osobom. Faktem jednak jest również, że drozdowski dworek użytkowała onegdaj służba zdrowia i doprowadziła go do ruiny. Wydział Zdrowia nie zdradzał wtedy najmniejszej ochoty na remontowanie i dalsze użytkowanie obiektu. Gdy ciężar wzięła na siebie kultura i konserwator zabytków, nikt

nawet nie pisał, że jego potrzeby są równie pilne. Teraz szeroko otwarte drzwi czekają na pieczone gołębki. Dla niektórych nie byłoby nawet problemem spłacenienie (nie wielkich na dzisiejsze czasy, wynoszących 15 milionów) kosztów remontu.

Jednym z kontrowersyjnych klientów jest Wydział Budżetowo-Gospodarczy Urzędu Wojewódzkiego, który upatrzył sobie Drozdowo jako idealne miejsce do szkolenia administracji państwowej. Firma ta nie miałaby kłopotów z etatami i personelem ani z całorocznym programem szkolenia urzędników różnej rangi i specjalności.

Kultura ma zdecydowanie więcej sympatyków niż urzędnicy, a także wiele nie zaspokojonych potrzeb. Dyrektor Janusz Berner nie przedstawił jeszcze swej koncepcji-faworytki. Chciałby, aby nie była to instytucja martwa. Ale jakie szanse żywotności ma placówka kultury oddalona o parę kilometrów od miasta? Dodajmy: niewielkiego miasta, którego komunikacja nie stanowi powodu do chłuby.

Debata nad zagospodarowaniem drozdowskiego dworku właściwie

dopiero się zaczyna (choć już co najmniej rok temu wszystko powinno być jasne), więc może najlepsza idea dopiero się zrodzi. Na razie przewijają się różne — mniej lub bardziej udane — pomysły. Największą siłą przebiccia mają trzy koncepcje: muzyczna, plastyczna i archiwalno-muzealna. Muzyczna wynika głównie z konieczności natychmiastowej poprawy warunków pracy Łomżyńskiej Orkiestry Kameralnej i Szkoły Muzycznej. W dworku można by zorganizować swoiste Centrum Muzyki, do którego artyści przyjeżdżaliby na próby i koncerty. Zatrudniani na sezon mieszkaliby na miejscu. Latem organizowałoby się kursy doskonalące dla kadry szkół muzycznych.

Służba zdrowia mogłaby natomiast wykupić domy literatów, których partery zamieszkaliby pensjonariusze, a piętra — pielęgniarci. Oczywiście, trzeba by było dobudować pawilon zabiegowy oraz pralnię i jadalnię (kuchnia wspólna — w pałacyku). Park, po uporządkowaniu, powinien stać się ogrodem botanicznym i zyskać jakiegoś opiekuna, np. Zespół Szkół Rolniczych w Marianowie czy szepietowski WOPR.

Pomysł jest ciekawy, ale wydaje się, że sami muzycy chętniej pozostaliby w mieście. Woleliby, aby opuścił ich niewygodny sublokator — laboratorium Samodzielnej Pracowni Badań i Ochrony Środowiska — który jednak nie ma gdzie się wynieść.

W związku z tym też pewnie zrodziły się zakusy na budyneczek Archiwum i pomysł, by tę instytucję wyprowadzić do Drozdowa. Idea chwytliwa, bo ludzie nie obeznani z pracą Archiwum wyobrażają sobie, że służy ono paru zra-

mołym profesorom historii, którzy mogą studiować cenne pergminy równie dobrze w Łomży, jak i w Drozdowie. Tymczasem jest to instytucja bardzo uczęszczana, obsługująca na bieżąco przedstawicieli 120 urzędów, przyjmująca wyieczki, udzielająca codziennych porad i wyjaśnień. Poza tym Archiwum nie ma żadnego interesu w przeprowadzce: budynek jest jego własnością, dobrze położony, funkcjonalny, a na półkach ma jeszcze 800 metrów do zapelnienia.

Może by więc opróżnić inny zgrabny budyneczek, np. Muzeum, które — choć zwie się dumnie „Okregowym” — jest nader skromniutkie? Są tam w zasadzie tylko trzy salki wystawowe. Miejsc wystawowych w Łomży trochę jest i jeszcze przybędzie, więc może bursztyny wywieźć np. do Muzeum Narwi i Biebrzy w Drozdowie, w którym kilkanaście salek poświęciłoby się florze i faunie, sztuce ludowej, a jedną czy dwie — regionalnemu wystrojowi wnętrza? Urządzałoby się w nich koncerty, spotkania...

Inną — nie pozbawioną sensu — propozycją jest stworzenie w Drozdowie liceum plastycznego. I ta idea ma jednak swój mankament: brak internatu. W samym pałacyku pomieściłoby się jedynie uczniowie jednej klasy. Po rozważeniu wszystkich „za” i „przeciw” wydaje się jednak, że tylko szkoła zamieniłaby pałacyk w pełną użyteczną placówkę. Jej absolwenci rozślawiali by swymi pracami imię Drozdowa i piękno tutejszych okolic.

Lista pomysłów jest wciąż otwarta. Być może ten najlepszy nie został jeszcze przedstawiony.

Fot. GABOR LÖRINCZY

DANUTA WRONISZEWSKA dworek na licytacji •



Były czasy, kiedy czterej synowie Gardockich z Mocarzy pracowali w mieście. Matka, Halina Gardocka, była ich powierniczką. Najstarszy, Jan, przez cztery lata był pomocnikiem geometry. Zarobione pieniądze składał na książeczkę, dzięki nim łatwiej mu było zaczynać samodzielne życie w mieście. Młodszy, Antoni, pracował w NRD i w Związku Radzieckim, a pieniądze przysyłał matce, żeby je gromadziła. W roku 1970, po wiosennych siewach, wyjechał do Białegostoku syn Kazimierz; wrócił jednak wiosną roku następnego. Trudno dociec, dlaczego do Mocarzy. On twierdzi, że przyjechał na wezwanie rodziców, lecz matka nie przypomniała sobie, aby ktokolwiek odwiedzał go z taką prośbą w Białymstoku.

Bracia spodziewali się, że Kazimierz pomoże im usamodzielnąć się w mieście, w zamian za zrzeczenie się ich praw do gospodarstwa. Jeden zamierzał kupić dom w Chotonowie. Zabrakło mu czterdziestu tysięcy. Poprosił Kazimierza, ale ten odmówił. Mimo to bracia nie rościłyby do niego pretensji, gdyby inaczej traktował matkę.

— To, co Kazimierz ze swoją żoną wyprawiają ze mną, jest nie do wytrzymania — żali się Halina Gardocka. — Raz rozmawiałam z synową w sieni; podszedł syn i wciągnął mnie do kuchni. Synowa ciągnęła za włosy i ręką uderzyła w twarz tak że miałam złamany nos. Cztery razy była sprawa o pobicie. Kiedy syn mnie pobili widłami przy młóceniu, poszłam do komendanta milicji. Komendant skierował sprawę do prokuratora, a potem do sądu. Ale ludzie przestrzegali mnie: „Będziesz miała dziecko w więzieniu”, więc przebaczyłam. Miliżant powiedział tylko: „Matko, jesteś głupia”. Innym razem składałam zaświadczenia od lekarza o pobiciu, ale sąd nie przyznał odszkodowania, a syna nie ukarał.

Halina Gardocka za nie w świecie nie pójdzie sama wieczorem doić

WIESŁAW KOŁOWSKI

sadysta



krow. Boi się po tym, jak ktoś zamknął ją w stodołę.

Kazimierz wszystkiemu zaprzecza; twierdzi, że są to bezpodstawne posądzenia, wymysły matki. Ale często podnosi głos na rodziców. Rwą mu się ręce do bicia, kiedy rozmawia z bratem Józefem. Pieniądzy na dom w Chotonowie nie dał bo jemu też nikt nie dawał.

Mimo konfliktu żyć trzeba; mieszkać w jednym domu, pracować w tym samym gospodarstwie. Na ojca zapisanych jest jedenaście hektarów, z czego tylko pięć nadaje się pod uprawę. Przed kilku laty Kazimierz na swoje konto kupił jeszcze dwa hektary. Utrzymuje trzy krowy, dwa konie i kilka psów. Ojciec też ma krowy, kłacz i kiziacz. W ubiegłym roku zboże, ziemniaki i buraki Kazimierz zebrał dla siebie również z ojcowskiego pola. Od dwóch lat ojciec płaci ubezpieczenie za dobra swoje i syna, a także — składkę na spółkę wodną. Wszystko pieniędzmi otrzymywanymi za mleko. Tylko elektryczność opłaca Kazimierz. Ale i on, zdaniem ojca, najwięcej jej zużywa; telewizor bywa włączony całymi dniami, zdarza się, że i po zakończeniu programu. Na porządku dziennym jest podkradanie wozu, narzędzi, a nawet garnków.

Konflikt próbowali rozwiązać synowie. Byli w ostatnie święta. Omal nie doszło do bijatyki, kiedy — po suto zakrapionym obiedzie — próbowali nakłonić Kazimierza do zmiany postępowania wobec rodziców.

Rozwiązania nie przyniosły też rozprawy sądowe. Od dwóch lat toczy się sprawa o stwierdzenie prawomocności umowy, w której ojciec podarował Kazimierzowi połowę gospodarstwa, w dniu jego ślubu.

Za podsyćcie konfliktu Gardocka wini sąsiadów. Mąż jej uważa, że podjudzają syna świadomie; jeśli otrzyma on gospodarstwo, sprzeda je sąsiadom. W sądzie też nie świadczą bezstronnie. Halina Gardocka najwięcej żalu ma do żony sołtysa — Jechaliśmy na rozprawę do Łomży. Ludzie pytali ją: „Mocarzka, po co jedziesz zawracać ludziom głowy?”. Odpowiedziała, że nie za darmo jedzie. Sąsiad mieszkający naprzeciwko oświadczył w sądzie, że nie nie powie, bo się boi.

Sołtys, najbliższy sąsiad Gardockich, niejednokrotnie namawiał rodzinę do zgody. Winę widzi po jednej stronie: — Przyczyną konfliktu jest to, że żona Kazimierza pochodzi z biednej rodziny i nie wniosła bogatego posagu. Stara Gardocka lubi podrapać się po twarzy i rozpowiadać wszystkim, że syn ją pobili. A Kazimierz powinien pozostać w gospodarstwie, bo od lat przecież na nim pracował. Najmłodszy niech idzie do miasta; ma zawód. Nie słyszałem, żeby Kazimierz dużo pił, najmłodszego natomiast często można spotkać trzymającego się plotu.

W następnym domu mieszka Roman Kosakowski. Wysła syna z żoną na przejażdżkę fiatem, a sam „grucha” do kwilącego potomka w wózku. — Ojciec musi iść na ustępstwo — mówi. — Czy ja dzisiaj dla przyjemności potrzebuję siki wachać? Wiem jednak, że dzieciom też należy się coś od życia. Gardocky ożenili syna, muszą teraz razem jakos żyć. W naszej wsi nie są do brzy ludzie. Mojego syna też pobili, ale nikt nie chce być świadkiem.

Kilka domów dalej mieszka najstarsza córka Gardockich, Zofia. Ma także synów i swoje problemy. Do rodziny nie chodzi i nie wtrąca się w jej sprawy. Uważa, że i tak nikt by jej nie posłuchał.

Konflikt w rodzinie Gardockich nie jest przypadkiem wyjątkowym. Emerytury dla rolników, miały zapobiec poniewieraniu zniechęconych rodziców, pozostających na lasce spadkobierców. Ale rzadko spotyka się dziadka czy babkę odpoczywających na przypięciu po wieloletniej pracy. Najczęściej muszą, na równi z młodszym o kilkadziesiąt lat następcą, chwycić za widły czy grabie. Za rzecz normalną uważa się sytuację, że do listonosza przynoszącego rentę wyciąga rękę reneista i jego następcę.

Fot. GABOR LÖRINCZY

kontakty kontaktów

W związku z artykułem Danuty Wroniszewskiej „Oddech szczura” („Kontakty” nr 31/82) i zawartymi w nim oszczerstwami znieślawiającymi moją żonę przedstawiam następujące sprostowanie:

„Wysłuchaj i drugiej strony” — mawiano przed wiekami, kiedy jeszcze nie było dziennikarzy i prasy. Ta etyczna wskazówka powinna być znana również redaktor Danucie Wroniszewskiej, albowiem konflikty rodzinne zawierają zawsze dwa oblicza. W artykule „Oddech szczura” przedstawiona sylwetka mojej żony jest obraźliwą i prymitywną potwarzą, mającą na celu Jej znieślawienie. Przeciwnie temu stanowczo protestuję. — Doświadczeni dziennikarze wiedzą, a sądzą, że Pani można do nich zaliczyć, że ryzyko zawodowego obowiązku nakazuje rozmowę z tym, kogo chce się pomówić. Niestety, Pani tego nie była uprzejma uczynić.

Ponadto chciałbym nadmienić, że dorobek małżeński stanowi nasze wspólne dobro, a o kierunkach wydatków decydujemy razem.

Jednocześnie informuję, że za sytuację, w jakiej znalazł się mój ojciec, on sam ponosi winę. Jednakże do tego nie chce się przyznać nawet przed samym sobą. Przyczyną wszystkiego nie są sprawy finansowe, ale nieumiejętność współżycia z otoczeniem.

KAZIMIERZ D.
(nazwisko do wiadomości redakcji)

OD REDAKCJI: Pański list nie jest wcale sprostowaniem, lecz próbą wytłumaczenia zachowania się Pańskiej żony wobec tescia. Nie wydaje mi się, by artykuł był „obraźliwą i prymitywną potwarzą”. Byłby pomówieniem, gdyby ojciec Pana nie mieszkał przez trzy lata w piwnicy, w opisanych przeze mnie warunkach. Nie zdradziłam nawet nazwiska, a o tym, kogo opisuję, mogły wiedzieć tylko te osoby, które i tak znały tę historię. Zaznaczyłam też, że ojciec Pana nie ma pretensji do dzieci za to, że mieszka w piwnicy. Jeśli mimo to uraziłam Pańską żonę, przepraszam i zapewniam, że nie zrobiłam tego umyślnie. Celem mego reportażu było skłonienie kompetentnych urzędników do udzielenia pomocy Pańskiej siostrze i ojcu, nie bacząc na to, że przepisy im tego nie narzucają. Dzięki tej interwencji siostra Pana otrzymała mieszkanie, a ojciec nie spędził kolejnej zimy w piwnicy. Jest coś symptomatycznego w tym, że fakt ten pominął Pan całkowitym milczeniem...

W „Kontaktach” z 30 stycznia br. przeczytałem artykuł pt. „Narew poezją płynie”. Pięknie redaktor Henryk Gała napisał o naszej twórczości.

Bardzo proszę redakcję o przesłanie mi tego numeru „Kontaktów”. Z pozdrowieniami.

HENRYK BENDER
OSTROLEKA

OD REDAKCJI: dziękujemy za list i pozdrowienia, a numer „Kontaktów”, o który Pan prosił, już wysłaliśmy.

W związku z zamieszczonym w numerze „Kontaktów” artykułem „Odstraszanie śmierci” Stanisława Zielińskiego, uprzejmie proszę o podanie dokładnego adresu pana Korzyńskiego z Goniądza. Posiadam pewną ilość środków usmierzających bóle. Część z nich chętnie prześlę panu Korzyńskiemu, któremu, po wcześniejszej konsultacji z lekarzem, być może pomogą.

JADWIGA SEMACZYŃSKA
WYSOKIE MAZOWIECKIE

OD REDAKCJI: serdecznie dziękujemy Pani za chęć pomocy i podajemy adres pana Kazimierza Korzyńskiego: ul. T. Kościuszki, 19-110 Goniądz.



NINA OMELCZENKO: — Pański fotel dyrektorski jest idealny: firma nie nie produkuje i jeszcze czerpie ogromne zyski

MACIEJ MARCINIAK: — Nie mamy żadnych zysków, bo i skąd, jeśli tylko za ubiegły rok wypłaciłmy ludziom 116 693 milionów złotych odsetek, a więc obdarowaliśmy ich jedynie za to, że dali pieniądze na przechowanie.

— Za chwilę usłyszę, że jesteście instytucją charytatywną?

— Nie jesteśmy! Działając w interesie Państwa wypełniamy zupełnie konkretne i opłacalne funkcje: przechwytujemy większość nadwyżek finansowych, neutralizujemy słynnego potwora — nawis inflacyjny.

— To jeszcze nie „rodzi” pieniędzy dodatkowego, a ten jest niezbędny, by PKO miało z czego żyć.

— Rzeczywiście, taki mamy dopiero z oprocentowania, finansowania przez Narodowy Bank Polski, kredytów obrotowych i inwestycyjnych, z których korzystają jednostki gospodarki społecznej. Z tego się utrzymujemy.

— To znaczy, że śladów słynnych trzech „S” w waszym gmachu nie ma co szukać?

— Są widoczne dopiero w skali całego NBP.

— Natomiast wy nawet planów nie macie?

— Jest plan przyrostu oszczędności. W ubiegłym roku — 120, w bieżącym — 316 milionów złotych.

— Jaki ma Pan wpływ na to, czy przyniosą tu pieniądze, czy nie?

— Żaden.

— Ale jest Pan chyba materialnie zainteresowany tym, byśmy oszczędzali w PKO jak najwięcej?

— Od wzrostu wpłat nie ma żadnej specjalnej premii ani dla mnie, ani dla moich pracowników.

— A jednak tu i ówdzie ze ścian łomżyńskich domów firma kusi: „Tylko PKO da ci bogactwo!”

— Prywatnie mówiąc, jest to bardziej nałóg niż wodzenie na pokuszenie. Jeśli ludzie mają co gromadzić, i tak do nas trafia. Natomiast skuteczną reklamą byłoby co innego: żeby każdy był obsługiwany momentalnie, a nie wyczekiwał w kolejce. Tymczasem pod tym względem jesteśmy chyba najbiedniejsi w Łomży: na pracownika przypada ledwie 2,5 metra kwadratowego powierzchni, nie bardzo nawet jest gdzie wstawić dodatkową kasę. Pamięta pani co się tu działo pod koniec ub. roku, gdy ludzie rzucili się na łeb na szyję do zakładania książeczek mieszkaniowych?

— Sodoma i Gomora! A czy Pan pamięta, że czeka was to samo w 1985 roku: zjedzie cała okolica z worami bonów rewaloryzacyjnych.

— Do tego czasu może się coś wymyśli, by ta fala nas nie zalała: utrzymanie najwyższego oprocentowania bonów, bo ja wiem, co jeszcze? Optymistycznie liczę też na to, że zrealizują się do tego czasu marzenia o zwiększeniu metrażu. Niedługo zwolni się plac CPN-u w centrum Łomży, a na jego miejscu stanie blok mieszkalny. Cały parter zajmie PZU, zwalniając nam pomieszczenia.

— A nie moglibyście wygospodarować środków i wybudować dużego gmachu?

— Z czego wygospodarować?

— Udzielając ludziom kredytów na większy procent; chętni się znajdują.

— Dajemy kredyty na 12 proc., ale i to bez entuzjazmu. Jest to kredyt limitowany centralnie, na nas przypada 1—1,5 miliona na rok.

od PKO 15 proc. (książeczki długoterminowe) jestem lichwiarzem?

— Tego nie powiedziałem! Przecież bank, przejmując od obywatela fundusze na dłuższy czas, obraca nimi tak, by stało się to opłacalne, a zatem na pewno nie traci na owym oprocentowaniu.

— A czy dla Pana osobiście nie lepiej byłoby, zamiast martwić się za gołą pensję sprawami firmy, założyć punkt agencji i uszczęśliwiać ludzi pożyczkami?

— Państwo jest w tej dziedzinie monopolistą; nikt by mi nie dał zezwolenia na coś takiego. Mogę pożyczyc prywatnie...

— Wiele jednak prawdą jest, że Pan, jak mówią, „siedzi w deszczu pieniędzy”?

NBP PKO w Łomży żyje z zaufania — nie całkiem bezinteresownego — właścicieli ponad 100 tysięcy różnych rachunków oszczędnościowych. O konsekwencjach codziennych i długofalowych tej bezgranicznej wiary — z dyrektorem PKO, Maciejem Marciniakiem — rozmawia Nina Omelczenko.

fotel

— Mogę rzeczywiście napatrzeć się na nie do woli, ale nie robią już wrażenia. Przy pierwszym zetknięciu z milionami, owszem, ciarki przeszły mi po plecach.

— Czy człowiek, który ma na co dzień do czynienia z pieniędzmi, musi mieć jakieś specjalne predyspozycje?

— W przypadku kasjerki — dużą odporność psychiczną. Następuje bowiem zderzenie: myśli o tym, co dać rodzinie na obiad za co kupić buty, a tu wokół ogromne kwoty: dziennie nawet 2,5 miliona. Zarabia zaś stosunkowo niewiele: 7 tysięcy plus tysiąc dodatku oraz rekompensata i dodatek za staż pracy.

— Kiedy Pan odkryje, że włożyła pieniądze przez pomyłkę do torebki?

— Sama to odkryje, gdyż codziennie rozlicza się z gotówką. Jeśli zabraknie, musi zwrócić albo pisze podanie o rozłożenie na raty. Był taki przypadek: kasjerka wypłaciła klientowi o 10 tysięcy za dużo: musiała to pokryć.

— Czy był kiedyś dzień, w którym byliście o krok od paniki?

— Chyba dwa lata temu poszła plotka o wymianie pieniędzy czy o radykalnych podwyżkach i musieliśmy odparować szturm. Ostatniej osobie wypłaciliśmy część pieniędzmi odłożonymi do wycofania z obrotu, ale wyszliśmy z honorem.

— Skoro mowa o honorze: nie buduje go takie posunięcie, jak ostatnie — zamknięcie z dnia na dzień kredytów dla młodych małżeństw.

— Jako obywatel też uważam, że było to nieuczciwe, ale jako dyrek-

tor „Wara”. Tak w każdym razie wynikało z informacji jednej z kasjerek.

— Musiała czegoś nie zrozumieć; wpłacający traci prawo do dysponowania wkładem dopiero po osiągnięciu przez właściciela książeczki pełnoletności.

— Nie chcecie też obsługiwać mnie w soboty. PKO odpoczywa, a WUP wypłaca laskawie po 500 złotych, nie więcej.

— Już to zmieniliśmy: w każdą sobotę poczta prowadzi do godz. 15.00 pełną obsługę klientów PKO, a w godz. 15—21.00 wypłaca gotówkę do 10 tysięcy.

— Gdzie można na was naskarżyć?

— U naszego zwierzchnika: w Oddziale NBP przy ul. 22 Lipca

zej, ale już 2000 wędruje po portfelach przez trzy lata.

— Po wycofaniu można by spisać protokół, a potem te pieniądze posklejać...

— O nie. Wracają do tzw. oddziału zasilającego, tam są dziurkowane i zwracane do skarbca emisyjnego i dopiero niszczone. A ile przy tym komisji, ceremonii, protokołów. Nawet te kółka, które wypadają z banknotów przy dziurkowaniu, są liczone, opisywane.

— Za to wszystkie inne operacje wykonuje za was komputer. Gdyby tomżyńskie ZETO wymówiło usługi, nie dalibyście chyba rady z nawątem pracy.

— Nie zrezygnują z nas, bo, na dobrą sprawę, z nas żyją. Gdyby jednak... musiałbym z miejsca zatrudnić dodatkowo z 15 osób.

— Winni więc jesteście komputerowi wdzięczność?

— Oczywiście, choć jest i pewna niedogodność: nasze ZETO ma tylko jedną maszynę, i to staruszkę; kiedy jest awaria, klient musi dłużej czekać np. na wymianę książeczki, a czekać („Na swoje pieniądze?”) nie chce. Powiedzieć mu, żeby nie nas kłął, a komputer? Ze śmiechu się nie powstrzyma.

— Z jakich form oszczędzania Pan korzysta?

— Mam rachunek oszczędnościowo-rozliczeniowy, książeczkę mieszkaniową i systematycznego oszczędzania na syna oraz samochodową.

— A długoterminową?

— Nie stać mnie na nią.



ANEKS DO WIZYTÓWKI

na miliardach

— Dlaczego nie zwiększycie oprocentowania?

— Zarządzenie ministra Finansów z 1976 r. stawia tu poprzeczkę: „Górna granica odsetek kredytów nie może przekroczyć 12 proc.”

— Wyższy byłby już lichwiarstwem?

— Powiedzmy, że tak.

— Tzn. że ja — obywatel, przyjmując

tor PKO oczekiwałem właśnie takiego posunięcia. Podanie tego zamiaru do publicznej wiadomości z wyprzedzeniem znów wywołałoby nawalnicę klientów, a i tak nie brakłoby niezadowolonych.

— Kontynuując niechlubną listę: jeżeli zakładam niepełnoletniej sierotce książeczkę, ale później chcę wycofać wkład, bo ta poszła złą drogą, to PKO powia-

— Zamiast biegać ze skargami ludzie mszczą się inaczej: nie szanują pieniądza.

— Fakt: dziennie z obrotu wypada 3—4 proc. Ustalona jest nawet statystyczna długość żywota nominałów: im mniejszy, tym krócej jest w obiegu. Np. 50 złotych wytrzymuje pół roku, 100 i 200 o miesiąc dłu-

— Czy zdarzyło się, by ktoś przyszedł do Pana nie z pęczkiem skarg, pretensji, a po prostu — podziękować. Szefuje Pan przecież instytucji, którą ludzie odwołują najczęściej.

— Raz ktoś wylosował samochód i przyniósł paczkę; wszyscy tu się zajądali. Więcej nie pamiętam.

Fot. GABOR LORINCZY

AmetSod



CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Jak wygrać wybory na sołtysa? Jest kilka sposobów. Najprostszy i najpewniejszy: przez bufet i na krzyk. Trzeba wziąć chłop-pyskacza. Niech przed zebraniem strzeli kielicha, a na zebraniu stawia kandydaturę i trzyma ząb za ząb. Kto za? Kuzyni dłonie w górę, sala też.

Ludzie w Kupiskach boją się każdego, kto tylko ma stanowisko. Boją się dyrektora szkoły, prezesa, naczelnika, boją się siebie. Każdy sam dochodzi swej krzywdy, ale tylko wtedy gdy doskwiera jak ból zęba. Inaczej uszy po sobie i ruki po szwam. Niech na całym świecie wojna, byle moja chata spokojna.

Madeckiego to drażniło. Nie żeby był proletariuszem, przywódcą mas, ale tak w ogóle. Pierwszą sprawą było wyłonienie sołtysa, który będzie walczył jak lew o sprawy wsi. A to ma umożliwić „Regulamin”.

Gdy próbuję wmówić Madeckiemu, że ściągnął swój pomysł z jakiegoś tekstu, który wpadł mu kiedyś w ręce, gorąco zaprzecza. Sam do tego doszedł. Nie słyszał o wielkich myślicielach, Arystotelesie, Janie Jakubie Rousseau czy Monteskiuszu. Skończył tylko zawodówkę. Przysnął wreszcie, że jego myśl dojrzała podczas pobytu (w 1980 roku) w RFN-ie. Właśnie odbywały się tam wybory na kanclerza.

— Czytałem wzrokowo na afiszach rysunki — wyjaśnia. — Na jednym Strauss leży na ringu posiniaczony i mówi: „Spotkamy się za cztery lata”.

Wr cił, gdy sierpniowa odnowa była w pełni. Niewiele, pozornie,

zmieniło się w Kupiskach Starych. Coś tam jednak musiało drgnąć w ludziach. Sejmograf odnotował to drgnięcie dopiero 10 lutego 1983 roku, gdy we wsi powołano komisję społeczną, mającą zbadać sprawę działek. Powstała, mimo że światło gasło trzy razy, co Madecki składa na karb ewidentnego sabotażu. Chciał też przy okazji ukuć swoje żelazo.

który działał na szkodę społeczeństwa wsi. Proponowany kandydat musi być trzeźwy oraz wyrażający zgodę na kandydata.”

— Jak będzie miał coś na sumieniu — tłumaczy Madecki — władza będzie trzymała go w garści. Sołectwo to mały skrawek, ale rozwinąć go trzeźwo to szeroka odpowiedzialność. Gmina chciałaby takiego so-

„5. Głosowanie musi być tajne.”

— Może za daleko się zagalopowałem — sumiuję się.

„7. Wybrane kandydatury muszą utrzymać ścisły kontakt.”

— Jestem podsołtysem, ale sołtys do niczego mnie nie dopuszcza. Wszystko sam z naczelnikiem ławi.

„Demokracja antyczna, ustrój polityczny niektórych miast starożytnych Grecji (V w.p.n.e.) oraz republ. Rzymu, pozwalający wolnym obywatelom na: udział w podejmowaniu ważnych decyzji państwowych, zajmowanie stanowisk państw., krytykę osób sprawujących funkcję publiczną.”

(Hasło z „Leksykonu PWN”).

— Naczelnik ściął mnie z nóg. „Kto to ułożył?” — pyta. „Ja”. „Nie będziemy dyskutować, to nie ma żadnego znaczenia”.

Madecki poszedł wówczas do rady prawnego. Ten poradził mu (chyba w formie żartu — podejrzewa teraz), aby wysłał regulamin — do uchwalenia — Sejmowi.

Objasnia mi swoją wizję wyborów. „1. Kandydat nie może być karany oraz nie może kandydować ten,

tysa, który powietrze by usłał zapachem przyjemnym dla nozdrzy.

„2. Należy zwołać zebranie przedwyborcze na tydzień przed wyborami, celem wyłonienia trzech kandydatów na wybory generalne.”

— Wiadomo, złodziej wysuwa złodzieja, a uczciwy uczciwego — komentuje.

„3. Kandydaci muszą przygotować na piśmie swoją działalność i pogląd.”

A to ja jestem narzędziem piorunującym, które walczy o działki.

„10. Sprawność wyborów, za zgodność z regulaminem potwierdza komisja skrutacyjna czytelnymi podpisami.”

— Humanitarnie przedstawić, nie tam szrajbnąć coś. To świadczy o kulturze wsi. U nas na zebraniu jeden przez drugiego się wydziera, jak głodny po kawałek chleba. Pokrzyżują i rozejdą się. Naczelnik dlatego lekceważy. Demokrację rozumiem jako miłość człowieka do człowieka — dopowiada po chwili namysłu.

„Demokracja: 1) władza ludu, społeczeństwa — czytając Madeckiemu z „Leksykonu PWN” — 2) forma ustroju państwa, w którym oficjalnie uznaje się wolę większości obywateli jako źródło władzy [...]”.

— Trudno mi powiedzieć, czy tak jest w państwie — komentuje cytaty — ale na poziomie wsi tego nie znalazłem.

Gdy próbuję zamącić jego przekonania, że demokracja to „sprzymierzeniec dobra”, przykładem Sokratesa, którego na śmierć za głoszone poglądy skazała demokracja ateńska, ripostuje: — Ginąc za prawdę nie powinien czuć się mocno pokrzywdzony.

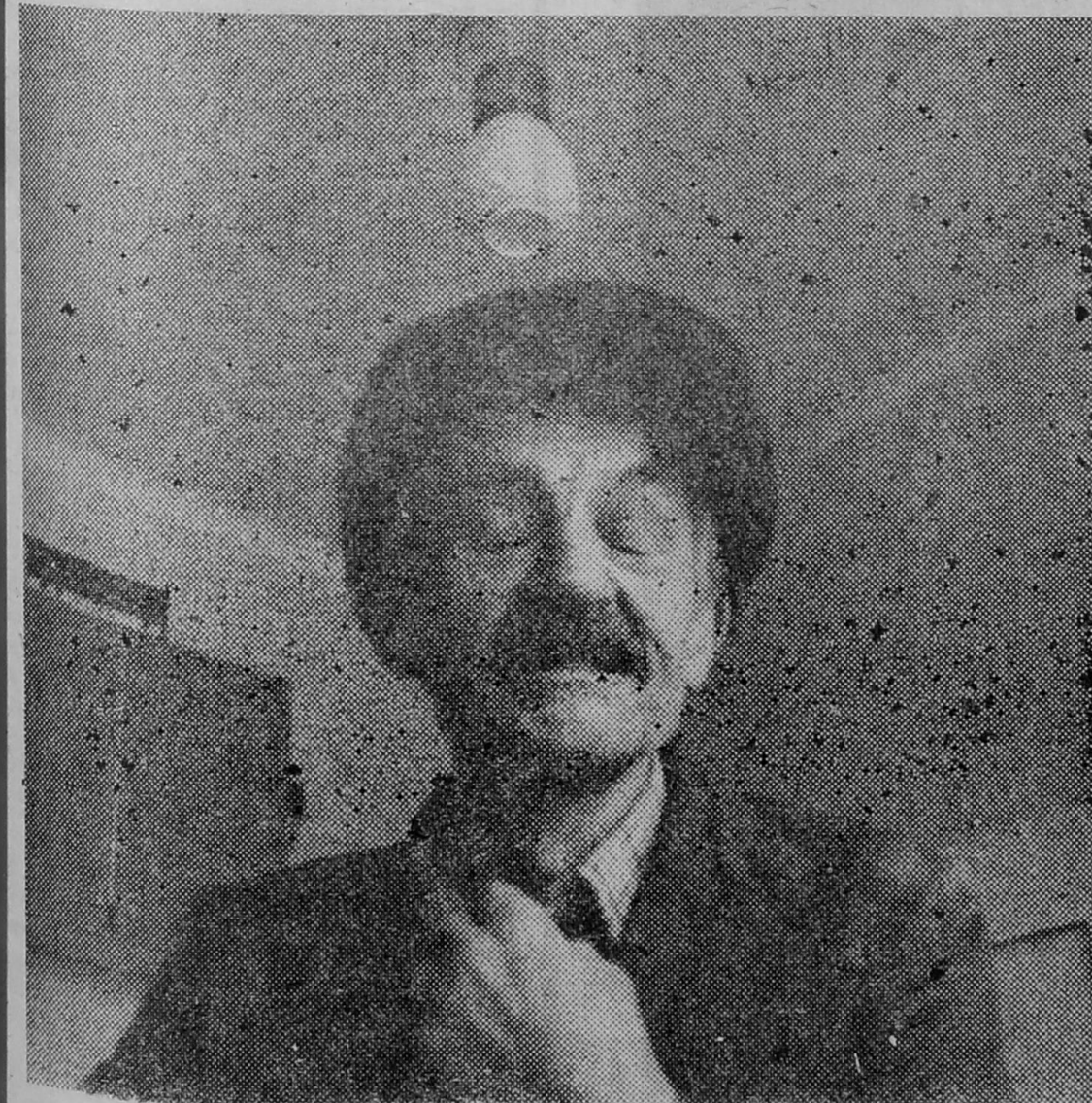
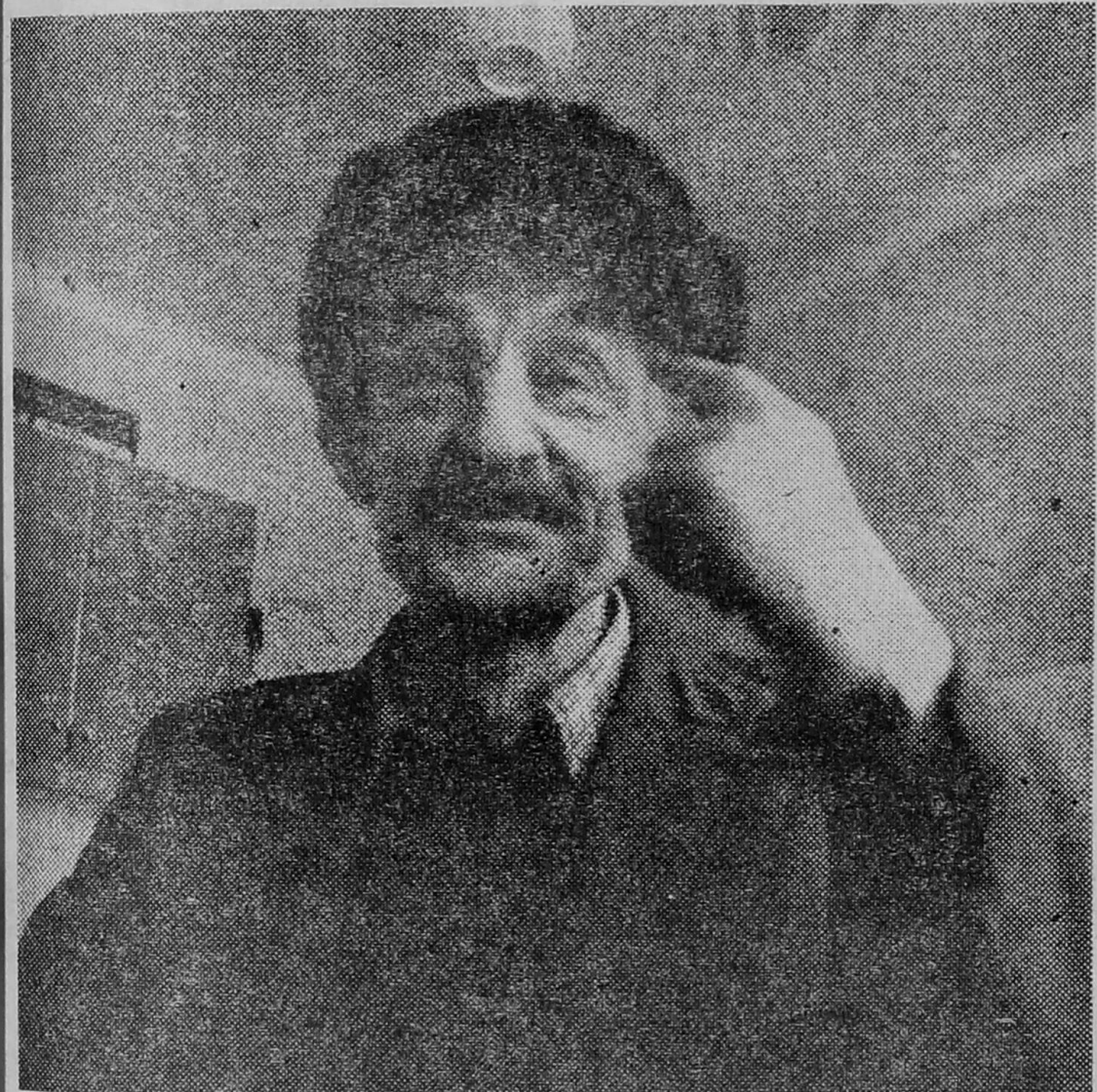
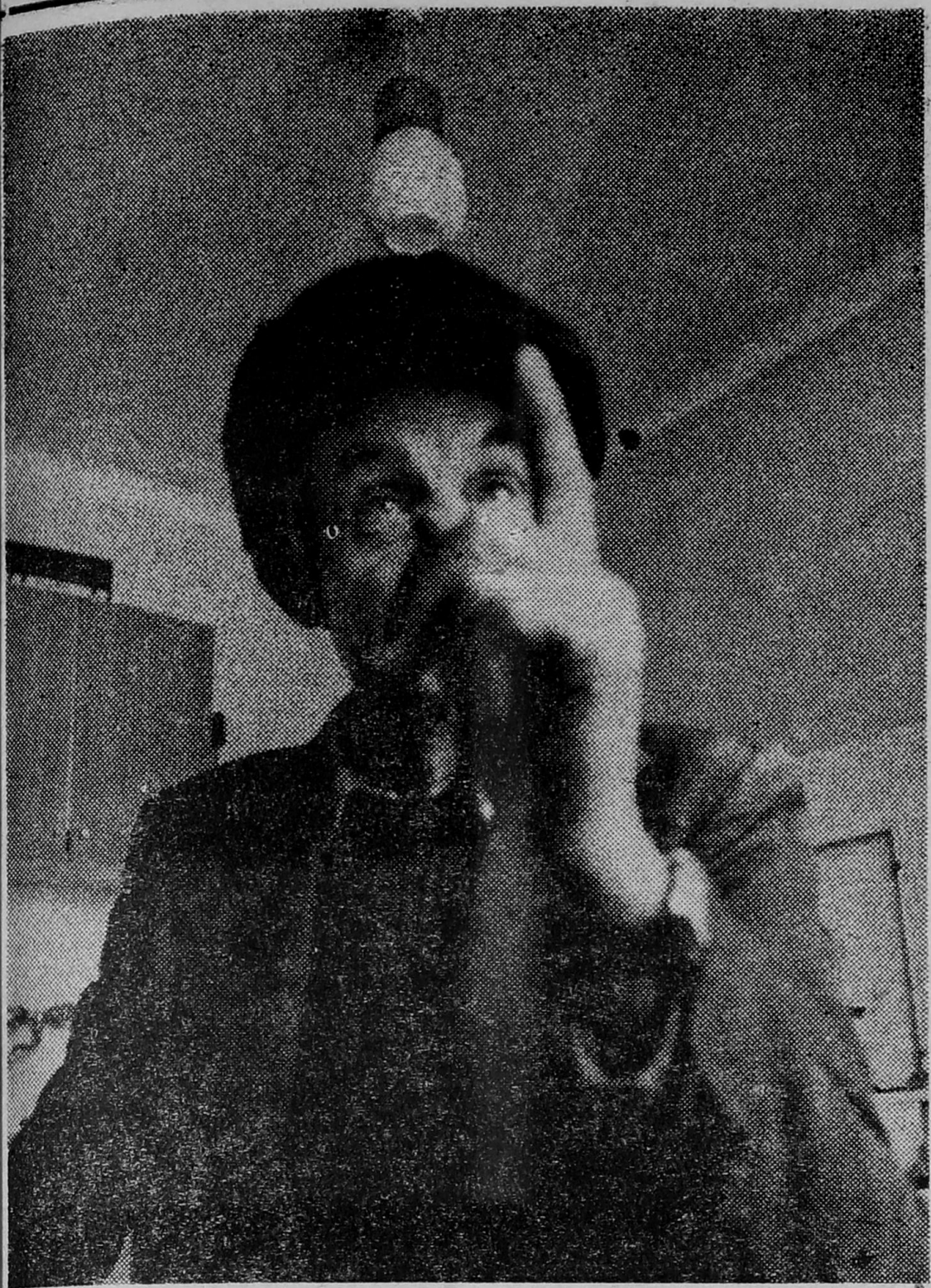
Wieś Kupiski Stare, chłopsko-robotnicza, liczy 156 domów oraz ok. 800 mieszkańców. Rozciągnięta wzdłuż uczęszczanej trasy, pełnej wyrw, jest znakomitą ilustracją hasła, wedle którego „ludzie mieli żyć dostatniej”. Wielu żyje nawet bardzo dostatnio, ale nie z siły Polski to się wzięło, a przeżycie z dolarów. Powystawiali ogromne już nie domy, a fortece. Rano zapchane autobusy wiozą stąd ludzi do łomżyńskich zakładów.

Pukam do małego, ceglanego domku z wywieszką: „Zakład szewski J. Birula”. Przy oknie, na zydlu, siedzi z butem w ręce przedwojenny sołtys wsi. Szewcuje od 16 roku życia, toteż ma wyrobiony pogląd o butach i ludziach, którzy je noszą. Buty terazniejsze niesolidnie zrobione, bo i ludzie są niesolidni.

— Sołtys musiał być ojcem wsi. Jeżeli nie, uciekał w kibini matry — opowiada Birula. — Wybory ciężko było wygrać. Ludzie się cegielili. Ci chcieli tego, tamci drugiego. Kultura kwitła we wsi. Mielśmy chór i teatr. Występowaliśmy u biskupa i w PPS-ie. Za kasę wybudowaliśmy Dom Ludowy, trzy szkoły, remizę jak się patrzy... Zaczęło się psuć w latach pięćdziesiątych. — Wszystko w trąbę — ścili.

Birula zasepia się, patrzy na sfaitygowany but. Obszerna izba się zapelnia; pod jednym dachem żyją trzy pokolenia Birulów. Wymieniają na wyrwyki, co we wsi miało powstać, a nie powstało: poczta, przedszkole, kawiarnia, spęd, ośrodek zdrowia, straż podmiejska z dwoma samochodami; nawet kompletny materiał był zgromadzony. Materiał „rozpożyczyli” wioskowi, węże strażackie szczyry pogryzły. Przy przystanku autobusowym o czasach świetności Kupisk świadczy tylko zarośnięty fundament po starej remizie, rozebranej, gdyż „ktoś” potrzebował desek na garaż.





— Każdy zamknął się w domu — wyjaśnia syn Biruli ten stan rzeczy — w telewizory lby powstawali i cześć. A ja czy chętny? Tylko żeby mnie było lepiej.

— Ścigają się — dopowiada dziadek Birula — kto większy „więzień” wybuduje. Domy eleganckie, ale już koło domów... gnój! Nie mogę tego ścierpieć — dziadek podrywa się z zydła zaciskając pięści. — Gryzę się strasznie, siakrew!

— Kiedyś LZS był — wpada w nurt dziadka wnuk. — Mecze rozgrywałem z sąsiednimi wsiami. Teraz nikomu się nie chce.

— Bardzo dobre! — przyklaskują, gdy odczytują „Regulamin” Madeckiego. — Tylko żeby robić od razu wybory, nie czekać tydzień — wprowadza poprawkę do pkt. 2 synowa Biruli. — Najlepiej podać inny cel zebrania, bo na wybory ludzie nie przyjdą. Konieczne muszą być tajne.

— Ten sołtys, co jest, nie się sprawami wsi nie zajmuje — mówi dziadek — dlatego tak szło.

— I przez 10 lat nie znalazł się taki, który by zmienił sołtysa? — pytam zdumiony.

— Jeden drugiego się boi — tłumaczy bierność wsi synowa. — W mleczarni byli też teraz wybory. Prezes wybrał z góry dwóch. Nikt się nie odezwie, bo zaraz zgasa.

— „Nasza biurokracja pięknie nam się stara: pięciu urzędników z jednego hektara” — dziadek śpiewem odpowiada na moje pytanie. Taka i u nas demokracja we wsi.

Sołtys, człowiek ze starej generacji wsi, wita mnie w ładnej kuchni przestronnego, piętrowego domu. — Nie mam nic przeciwko — mówi, gdy streszczam punkty „Regulaminu”. — Ja się rzeknę. Mnie już za ciężko. Niech ktoś młodszy. Madecki? Dobry chłop, ale nudas straszny. Nie dopuszczam go, bo mi niepotrzebny. To robota taśmowa. No, rozleciało się, rozleciało. Co ja mogłem, naumuchać? Kult jednostki rządził. Ja tylko: przynieść, podaj...

— Kult jednostki rozkradł budulec na remizę?

— W żadnym wypadku moja sprawa, tylko komendanta. Nic bym nie robił, tylko za straż musiał pilnować.

— A co pan zrobił przez 10 lat sołtysowania?

— Ja chciałem, ale ludzie się na mnie stawiali. Od 1949 r. na umysłowej robocie. Druga kadencja przyszła, nikt się nie dopominał i tak pozostało. Pretensje mają do mnie ci, którym nie wydałem fałszywych zaświadczeń. Jak na zebranie przyszło 15 osób, to dobrze... „Po co?” — mówili. Gdy działki sprzedawano, nie zwołano zebrania wsi.

— Pan był już wtedy sołtysem.

— Panie, kult jednostki rządził!

U Maćka Urbaniaka, przewodniczącego ZSMP, kuchnia pełna młodych mężczyzn. Kontrowersje wzbudza tylko punkt o tajności. Maciej jest za.

— Bo jak będę przeciw, to mnie zapamięta i będą zgrzyty.

Jego kolega jest zdania, że sami ludzie muszą zdecydować, czy jawne, czy tajne.

Radnego GRN-u, Mirskiego, natchodzę w niefortunnym momencie. Właśnie rozpoczął się mecz Widzew — Liverpool. Mieszka z synem w budynku gospodarczym. Tuż obok okazały, piętrowy murowaniec czeka na lokatorów, tylko podłogi położyć. Mirski odrywa się od telewizora. Uważnie czyta „Regulamin”.

— Za mało sołtys robi, ale zastrzeżeń do niego nie mam. Madecki, z kolei, za duży krzykacz. Nie wiem, czy te punkty są zgodne z prawem — mówi oddając mi kartkę.

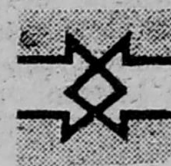
Niniejszym informujemy Ob. Madeckiego, że przeprowadzona we wsi Kupiski Stare sonda w dniach 1—3 marca 1983 r. wykazała duże zainteresowanie ideą wyborów według przedstawionego regulaminu. Jest to pozytywny przejaw postępującej demokratyzacji życia w kraju.

P.S. Tygodnik „Polityka” z 26 lutego br. zamieścił przedruk artykułu z „International Herald Tribune”: „wzrastająca apatia w wyborach szwajcarskich może wskazywać na zbyt dużą dawkę demokracji”. Na szczęście, w Kupiskach nie czytano tego artykułu.

Nazwiska osób zostały zmienione.

Fot. GABOR LÖRINCZY

spiećcia



Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Piątnicy od trzech lat obiecuje rolnikom, obsługiwany przez zlewnię mleka w Drogię, że dostarczenie „kart łostawcy”. Szczególnie szybko pragnie obietnicę zrealizować, gdy dochodzi do kolejnego konfliktu na temat ilości i jakości odstawnego mleka. Po czym zapomina. Urzędnik też człowiek: ciągle tuczy się na własnych błędach.

*

Redaktor Grün wprowadził w swym kąciku „Okolice muzyki” stan wojenny nie tylko przeciw rockostonom, ale i językowemu niemoctwu: obśmiał trzy dziewczyny, które w liście do niego niepoprawnie użyły przyimka „dla”. W tym samym numerze „Gazety Współczesnej” redaktorowi Klimaszewskiemu jr. udało się popełnić ów błąd dwa razy w jednym zdaniu. Bądźcie czujni, Grün! Na język polski czyhają pod bokiem!

*

W minionych latach w Łomży której brakuje przeszło sześć tysięcy mieszkań, władze postanowiły pójść na rękę wszystkim, którzy chcieliby się samodzielnie budować. Szczególnie poparcie uzyskali zwłaszcza zajmujący mieszkania spółdzielcze: pod warunkiem ich zwolnienia po czterech latach — otrzymali zezwolenie na budowę, działki, kredyty i przydziały materiałów budowlanych. Większość z nich budowy zakończyła; niektórzy wyczuli biznes — opylili hacjendy, zgarnęli szmal i ze spółdzielczych em-kitek ani myślała się wynosić. Na razie zresztą nikt ich specjalnie nie tyka. Cóż, pieniądze ma to do siebie, że nie tylko daje się mnożyć, ale i dzielić.

*

Gminna Rada Narodowa w Trzciannem uczciła odejście naczelnika gminy na inne stanowisko powstaniem i minutą ciszy. Oczekiwali chrobotu sumienia?

*

ZOZ w Kolnie dwukrotnie otrzymał talony na dywany i aby było sprawiedliwie — postanowił rozłozować je wśród wszystkich pracowników. „Pierwszy raz — informuje Czytelnik — dywan wylosowała żona dyrektora; drugi — dwaj spośród trzech członków komisji. Czy to nie dziwne?” Oczywiście. Mamy nadzieję, że zrozumie to również trzeci członek komisji i podczas kolejnego losowania przestanie strugać Lotta.

*

Aby zwrócić nie wykorzystany bilet PKS-u, należy: stać w kolejce do kasy, by dowiedzieć się, że sprawę tę załatwia się w biurze przy ulicy Świerczewskiego; w dziale przewozów pasażerskich wypełnić druk reklamacyjny z podaniem imienia, nazwiska, dokładnego adresu daty i przyczyny rezygnacji z jazdy, po czym oddać go kierownikowi działu; poczekać, aż kierownik wypisze na podstawie uzyskanych danych rachunek; z podpisanym przez kierownika i dyrektora rachunkiem udać się po podpis do głównego księgowego; z zaakceptowanym przez głównego księgowego rachunkiem podejść do kasy. Zrozumiałe, że przy tym nie należy zwariować.



Przeogromne i osobiwe dawała i daje nuda rezultaty, bez względu na aspekt ujęcia rzeczy całej — zbiorowy bądź indywidualny. Narazając się na zachęcenia oburzonych historyków, ze świadomością dokonania pewnej trywializacji, gotów jestem przyjąć, że zarówno wyczyny — obłąkanego możliwości władzy — Nerona, jak i los Ludwika XVI są oznakami funkcjonującej w zbiorowości nudy. Fakt, przykłady to ekstremalne, ale i znamienne, obrazują bowiem różnice w przejawianiu się fermentującej — aż do wybuchu z nie powstrzymaną namietnością — sily.

„Nudę” rozumiem nie jako stan, lecz proces; proces gromadzenia energii, która nie zużywana, musi kiedyś eksplodować w żaden sposób nie poddając się kontroli.

Przypadek Nerona był przejawem przerwania nudy wywołanej nadmiarem wolności. Jeśli idzie o Ludwika XVI, sprawa przedstawiała się wprost odwrotnie: los, jaki go dotknął, miał za przyczynę niedostatek obowiązków.

Wiem, że wielu chętniej dopatrywałoby się w tych faktach roli brzucha, lecz o brzuchu będzie innym razem. By nie grzebać się dalej w trzewiach historii, co i tak przekonuje lub drażni tylko fachowców, rozejrzyjmy się wokół. Dystans, jaki trzeba pokonać, mogą tłumaczyć prymitywnością narzędzia, którym się posługuję. Postępuję jednak w imię sentencji o koszuli i ciele.

Swego czasu pewien urzędnik wiodł spokojny żywot. Wypełniał obowiązki sumiennie, choć nie miał ich zbyt wiele. Pieniązków otrzymywał tyle, by nie zastanawiać się nad wiazaniem końca z końcem. Życie rodzinne miał ułożone: żonę, owszem ładną, nawiąsawliwą; dzieci rosty. Lecz w tym pastelowym obrazku coś nie pasowało. I nie dziwnego, bowiem owego urzędnika ten życiowy spokój drażnił. Nie potrafił się z nim zgodzić. Pisał do różnych czasopism, rozpyty-

wał znajomych. Rad otrzymał tyle, że mógłby obdzielić nimi pół gminy. Równie często spotykał się z pytaniem: czego ty właściwie chcesz? Ba, żeby on to wiedział! Marniał.

Aż zaszedł fakt, który można by ocenić jako szczęśliwą okoliczność: zmienił pracę na gorzej płatną, a w dodatku wiążącą się z wyjazdami. Skończyło się czytanie gazet, oglądanie telewizji — nie miał już na to czasu. Po pół roku znajomi z trudnością go rozpoznawali. Pełen

patykiem pisane

nuda

wigoru, radości życia, zaczął nawet doceniać walory swojej rodziny. Przyszło jednak załamanie. Kiedyś, przy wodce, nagabnął, ogarnięty chwilową melancholią, innego delegacyjnego „potentata” o perspektywę zostania „rogaczem”. Tamten z wielkoduszną wyrozumiałością odparł: — Furda rogi, rzecz idzie o nakrycie głowy. — Niestety, nie stać go było na tyle dystansu. Śmieszne, ale i nie bardzo. Popęlił samobójstwo.

Historyjka ta kojarzy mi się z osobistym kawałkiem życiorysu. Gdy przypomniał sobie początki wspólnej drogi z moją byłą żoną, widzę o-

grom popełnionych błędów. Jako młody idealista, nie skażony życiem, wyobrażałem sobie nasze stadło jako nieskończoną harmonię z nieodzownymi atrybutami: równością praw i obowiązków, wzajemnym zaufaniem, szczerością i tolerancją.

Któregoś razu, przy szorowaniu garów, nasza mnie myśl, czy aby moja żona nie zachorowała na — groźną skądinąd — nudę. Przyznaję, że sytuacja nie mogła mnie zadowalać. Dzięki nikczemnemu zapręgnięciu mnie do gotowania, sprzątania, zakupów itp., miała czas na odwiedzanie znajomych, czytanie, kino, teatr. Fakt, nie miała go więcej niż ja, ale weźmy, na przykład, lektury: czasami zapytywała mnie o coś, prosiła, bym pomógł jej zrozumieć, wytłumaczyć, to znowu podejmowała dyskusję. Poza tym przynębiało mnie, wstyd przyznać, jej nienasycone erotyczne. Zaczęłam nabierać podejrzeń, że moja żona wystawia swego męża do wiatru. Uznałam, iż nadeszła pora, by dostrzec kamienie w naszej rodzinnej maszynie demokracji.

Powoli wycofałam się z obowiązków, następnie ograniczyłam pracę. Żonie powiedziałam, że nawet w demokracji ktoś musi rządzić. Nastąpiły inne czasy. Zza rozłożonej gazety dobiegały mnie odgłosy krzątania. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w kraju akurat rozszalał się kryzys. Te kolejki, ileż one czasu pochłaniały, lecz jakże radosny był widok żony powracającej z „wystaniami” podróbami, szamponem czy kremem do golenia. Nareszcie miałem spokój. Skończyły się odwiedziny, teatry, książki, skończyły się też głupie pytania. No, niezupełnie; czasami pytała: „Co, znowu ci nie smakuje?” A muszę przyznać, że i w tych sprawach jakby się polepszyło.

Trudno mi uwierzyć do tej pory — odeszła. A co wygadywała w sądzie? Nie sposób powtórzyć. Dziwne, zawsze była taka łagodna. Nuda przyoblała osobiwe kształty.

STOS

NA PIĘCIOLINII

gdzie był pies pogrzebany

Ani działalność publicystyczna wielu dziennikarzy, ani deszcz na wysokich szczeblach resortu kultury nie obnażyły w doskonały sposób bezsensownej działalności dyirekcji naszych firm płytowych, jak wejście na chłonną nek kilku przedsiębiorstw polonijnych. Z wiarygodnych źródeł wiadomo, iż ich właściciele już dawno chcieli zainwestować swoje dolary w strefie waluty niewymienialnej — ale — podczas gdy wydawano pozwolenia innym przemysłowcom na produkcję płyt i kaset nie wyrażano zgody. Dopiero kiedy okazało się, że nasz interes fonograficzny właściwie leży i nie widać dlań żadnej szansy, wpuszczono do tego pola siedmiu bodajże kontrahentów zagranicznych. Przy pomocy bezczynnie stojących urzędów polskich (sprowadzonych niegdyś za dewizy) zaczęli oni nagrywać oraz wydawać płyty i kasety, a także prowadzić sprzedaż czystych kaset na chodnikach, „Agfa” i „Basf”. Za towarki — ma się rozumieć.

Ta działalność dlatego obnażyła bezsens naszej fonografii, że przecie i ona dysponowała niegdyś dolarami, sprzedawała swoje wyroby na Zachód, kupowała sprzęt, materiały, licencje itd., a mimo to wlała w ślepy zaułek. Chociaż trudno mówić o wlazeniu, skoro właściciel przez cały czas w tym zaułku tkwił. Tymczasem teraz, w czasie kryzysu, oferuje się nam atrakcyjne płyty z muzyką rockową („Perfect”, „TSA”, „Maanam”) czy z ludową (LP „Mazowsze śpiewa koledy”), atrakcyjnie wydane kasety, deficytowe kasety czyste. Ba, firmę „Weltton” stać przy tym wszystkim na opłacenie kosztownych — bardzo częstych i dużych — reklam w ogólnopolskich czasopiśmie ilustrowanych.

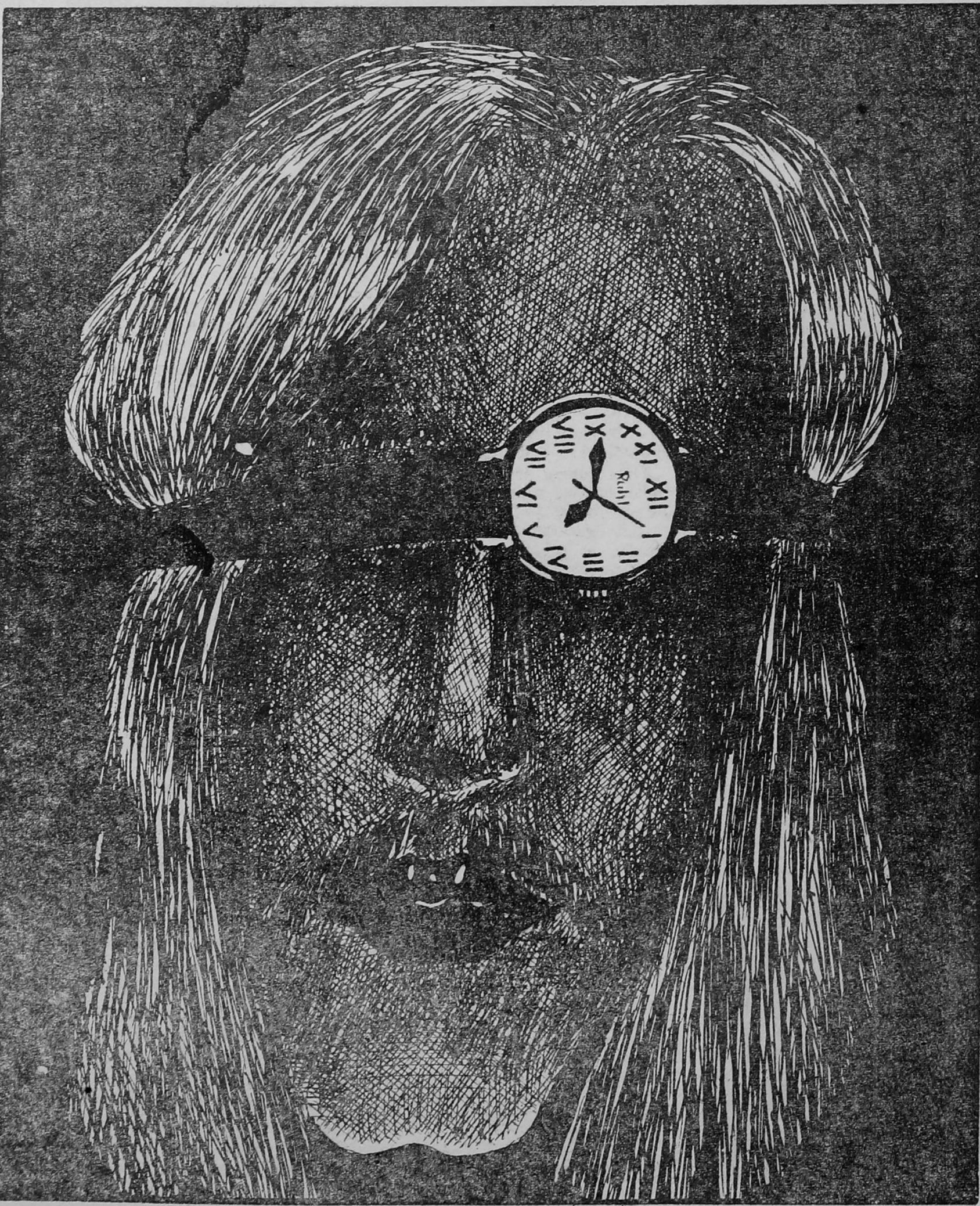
Kto zatem bronił „Polskim Nagraniom” podjąć kiedyś takie ryzyko, skoro były dewizy i błogosławieństwo kolejnych ministrów Kultury i Sztuki? Zresztą tych dolarów wydano znacznie więcej, tyle że na zakup idiotycznych licencji i sprzętu, który u nas nie ma żadnego zastosowania. Natomiast praca ta umożliwiała pewnym panom dyktatorom od fonografii wydawanie własnych płyt z własną twórczością oraz z twórczością kumotów. Dlatego — zamiast rozwoju i zaspokajania rynku — mamy dół jak z rynku do piekła albo jeszcze dalej.

Nie można wobec młodych firm polonijnych stosować takich samych kryteriów, jak wobec naszej fonografii, i to z kilku powodów. Nie stosują się one przecie do, głoszonej w naszym systemie politycznym, zasady mecenatu państwa na kulturę, co wiąże się z kształtowaniem gustów. Są to firmy typu zachodniego i działają według tamtejszych kryteriów. Ale przecie „Mazowsze” jest głośkane również przez nasze oficjalne czynniki, dlatego więc dopiero „Polfrakt” wydał płytę, która ma pięknie wykonaną okładkę i nareszcie nie trzeszczy. Młodzież domaga się muzyki rockowej, lecz dopiero firmy polonijne rzuciły na rynek kilkuset tysięcy nakłady long playów z przebojami itd.

Prawda jest taka, że fachowcy w naszych wytwórni płytowych działali na wszystkie strony, aby — kiedy to jeszcze było możliwe — zostać jedynym monopolistą na rynku. Dziś nawet najlepsze chęci i najlepsze znajomości nie uruchomiły maszyn fonograficznych i nie dostarczą potrzebnej do tłoczenia krążków tzw. czarnej masy, nie mówiąc już o produkcji kopert, które opóźniały ukazanie się płyty przeciętnie o dwa lata.

Jeszcze jeden fakt, związany z działalnością tych firm, jest pocieszający: z pewnością ich produktami nie staną się przeboje Andrzeja Jankowskiego, lansowane do znużenia przez „Polskie Nagrania”.

JAN JANUSZK



RYT. ANDRZEJA PODULKI

refleksje





Jest to już faktem — ja będę powieszonym. Tak zaczyna się pierwszy list Rafała Krajewskiego z Cytadeli Warszawskiej. Dyrektor Wydziału Spraw Wewnętrznych Rządu Narodowego sądzony był razem z Romualdem Traugutem, dyrektorem powstania styczniowego, i obok niego zawieszony na carskiej szubienicy 5 sierpnia 1864 r. Zginęli wówczas jeszcze: Józef Toczyński, Roman Zuliński, Jan Jeziorański; razem pięciu bohaterów ostatniego już w XIX w. polskiego powstania narodowyzwolenczego.

Krajewski („Wujaszek”, „August”, „Helena”) został aresztowany później niż Toczyński (vide: „Kontakty” nr 9/83), bo dopiero 11 marca 1864 r., ale jego pseudonimy wcześniej już przewijały się w zeznaniach osób zatrzymanych na polecenie Tymczasowej Komisji Śledczej.

W trakcie pierwszego przesłuchania Krajewski powiedział o sobie: „Jestem 29, katolik, bezżenny, rodem jestem ze wsi Lempice powiatu łukowskiego, gub. płockiej, z Wojciecha i Pauliny z Markowskich, małżonków Krajewskich”. Wiemy dokładnie, że urodził się 24 października 1834 r., a Lempice stanowiły własność ojca. Zdaniem jednego z biografów, młodzieniec ten „odznaczał się charakterem wyrobionym, rozumem nad lata, statecznością usposobienia, miłością wiedzy [...]”. Zdał egzamin do klasy III gimnazjum łomżyńskiego i w murach szacownej szkoły, spadkobierczyń sławy kolegów jezuitów i pijarskiego, kształcił się z dobrymi wynikami. „Miał lat siedemnaście, gdy ukończył łomżyńskie gimnazjum, które wydało wielu dzielnych obywateli kraju” (Agaton Giller). Potem odbył studia architektoniczne w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych. „Z zawodu stał się budowniczym, z uzdolnień to poeta, literat, dusza artystyczna, ku pięknu, dobru, prawdzie wciąż dążąca”. Bywał w salonach warszawskiej cyganerii, pisał powieści i wiersze, grywał w teatrzykach amatorskich. Na konto pozytywów tej osoby dodajmy jeszcze i miłość do rodziny, troskę po śmierci rodziców o siostry: Emilię, Józefę, Zofię, Paulinę i Helenę; miał nadto Rafał dwóch braci, z których młodszy — Henryk — walczył w powstaniu pod dowództwem walecznego gen. Hauke-Bosaka.

W pierwszym zeznaniu Rafał Krajewski przyznał się do odbycia podróży zagranicznej w 1862 r., ale określił ją jako naukową i pominął Paryż w wykazie miast odwiedzanych (w rzeczywistości chodziło wówczas prawdopodobnie o zapoznanie się z poglądami polskiej emigracji na rozwój sytuacji politycznej); potwierdził również zapłacenie podatku narodowego, udział w dyskusjach, a nawet „uczucie potrzeby służenia krajowi”. Tłumaczył zarazem, że jego „systematyczny i nawiązy do pracy umysł” nie mógł zaakceptować „pojęć gwałtownych”, a zgodę na podjęcie działań konspiracyjnych podjął „powodowany ambicją, ażeby okazać, iż tchórzem nie jestem”. Zaprzeczył następnie, jakoby posiadał pieczęć rządową, ale też przyznał się do napisania, pokazanych mu, dwóch pism, które wyszły z Wydziału Spraw Wewnętrznych Rządu Narodowego. Zaskakujący brak konsekwencji. I on chyba nie doceniał przeciwnika — wytrawnych śledczych carskich.

Trzy dni później Krajewski odrzucił twierdzenie, jakoby był „członkiem wyższym w organizacjach”. Wkrótce na ręce prezydenta Warszawy wpłynęła prośba siostry Rafała, Paulina wybrała takiego właśnie adresata, bo brat kie-

rował przed aresztowaniem m.in. odbudową stołecznego ratusza. Apelowała zatem do „generała, by ten, mając wzgląd na przykre nasze położenie jako sierót pozbawionych opieki, raczył łaskawie przyczynić się swym wpływem do przedsięwzięcia uwolnienia Rafała Krajewskiego, dla skrócenia przerwy w jego mozołnej i czynnej pracy technicznej [...]”. Jasnie Wielmożny Prezydent Kaliks Witkowski, a poprzednio przewodniczący Stałej Komisji

carskich? Runęły sny o Niepodległej i za każdą cenę należało odsunąć widmo szubienicy? A może po prostu zabrakło hartu i wzorców postępowania w takich mortuowych sytuacjach?

Dalsze losy Rafała Krajewskiego spłotyły się z losami Traugutta i wielu innych przywódców powstania. 14 maja 1864 r. przekazano ich pod sąd polowy i ten wydał na „przestępców politycznych” tzw. I kategorii wyrok śmierci przez powieszenie. Zostało kilka tygodni życia.

Były referent Wydziału Spraw Wewnętrznych od maja 1863 r., a następnie — do listopada tegoż roku — dyrektor Wydziału, miał wyjątkową możliwość wysyłania z więzienia listów do sióstr. Pisał je skrycie ołówkiem na świstkach papieru. Dwadzieścia niecodziennych pamiątek z celi skazańca opublikowano w 1875 r.

W cytowanym już, pierwszym liście Krajewskiego (z 12 maja) znalazły się zdania: „Moje drogie siostry, spodziewam się, że będziecie jeszcze do mnie pisać; jeżeli nie, przyjmijcie moje ostatnie życzenia: przebaczenie — wszystkim szpiegom i katom, kochajcie żywych i tych, co pomarli, módlcie się o zbawienie waszego grzesznego

znieść się nie mogę, ale wiem z pewnością, że wyznał swoje prawdziwe nazwisko; w każdym razie żonę jego i dzieci trzeba usunąć w bezpieczne miejsce, żeby z nimi nie postąpiono jak z Sierakowską”. (Nie wywieziono; Traugutt miał dwie córki w wieku lat 6 i 10, pozostające przy jego drugiej żonie).

Krajewski, jak wynika z listy kolejnych listów, pogodził się ze śmiercią. Wracal jednak do spraw bliskich eks-powstańcom. „Narodowości są nieśmiertelne o tyle tylko, o ile nieśmiertelną jest idea, którą w dzisiejszym żywocie swoim rozwijają; naród, co takiej nieśmiertelnej idei nie ma, jest trupem i ulega rozkładowi — ginie. Polska może tak zginąć, jeżeli się w czas nie opamięta [...]” (list nr XII). Przestrzegał rodaków, by nie oglądali się w przeszłość; dręczyła go obawa, że po jego pokoleniu pozostanie pustkowie. Przegraną, wąpił w celowość walki zbrojnej, ale nie tracił wiary w mądrość narodu. Zaakceptował i uwłaszczenie chłopów — „Program Kościuszkowski wypełnia się” (list nr XVII).

Najczęściej kierował jednak myśl ku tamtemu już światu. Bogu, duszy i miłości chrześcijańskiej. Bywało, że nadawał swym wypowiedziom formę wierszowaną:

„I odpusć nam naszą winę
Jak my winowajcom
Bracia, my w zbrojną godzinę
Odpusćmy słabym i zdrajcom...
Z upadłej sprawy — ojczyźnie
Zostawmy posiew przyszłości,
Gdy krwi nie stało, w spuściznie
Oddajmy na siew swe kości...
Krew nasza lała się marno,
Bóg nie wsparł walki oręża;
Więc nowe rzucamy ziarno,
Tę miłość, co świat zwycięża...”

Nadszedł dzień 5 sierpnia 1864 r. „Moi najmilsi! Otóż dobiegłem do mety — już dziś ostatni dzień mojego ziemskiego życia! [...] Widziałem was — czuję, że dusza moja wyrwała się z ciała, żeby obcować z wami tak, jak to zawsze czynić będziemy. Dalem wam już wszystko, com miał — dalem na zawsze! A teraz duszo moja — wracaj jeszcze na ostatnią pracę!

zstępowanie do grobu

ADAM
DOBROŃSKI

Śledczej, odesłał po prostu prośbę do Cytadeli.

Pułkownik Teodor Tuchółka, przewodniczący Komisji, też nie ulegał sentymentom. Łaskę cara zdobywać należało gorliwością i zawziętością w tropieniu polskich „miałeżników”. A sprawa Krajewskiego wyglądała coraz gorzej. Przybywało obciążających go zeznań, ujawniano fakt spotkań dyrektora Wydziału z samym Romualdem Traugutem. Zandarmi „użyli dodatkowych argumentów”: „Bili mnie, głodzili, rzucili mnie do lochu, w którym przebywałem trzy tygodnie — wytrzymałem wszystko. Lecz po pięciu tygodniach, gdy mi pokazano mnóstwo papierów, gdy Naczelnik Rządu Narodowego został aresztowany, gdy mi wymieniono szesnaście poważne stanowiska zajmujących osób, które poczyniły zeznania, dusza moja skruszyła się i przyznałem, iż byłem Dyrektorem Spraw Wewnętrznych”. Sprawdzoną metodą łamania uporczywych było owo pokazywanie zeznań, często fabrykowanych zresztą przez samą Komisję.

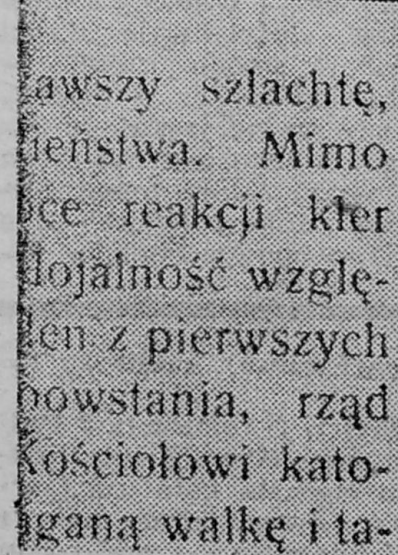
20 kwietnia Krajewski zadeklarował, że wyzna prawdę, i poprosił o papier. W ciągu trzech dni opisał cały mechanizm funkcjonowania powstańczego Wydziału Spraw Wewnętrznych, wymieniał obsady osobowe, podał zawartość napływającej i ekspediowanej korespondencji. Po każdym takim „rzetelnym zeznaniu” następowały nowe aresztowania. 26 maja pułkownik Tuchółka mógł zameldować namiestnikowi Królestwa Polskiego, „że cała organizacja rewolucyjna została zniszczona”. Niestety, w stwierdzeniu tym było niewiele przesady.

Oskarżony określił siebie „jako uniesionego ogólnym prądem wzburzenia, jakie umysły ogarnęło”. Pisał też: „Nie kierowałem wypadkami, lecz sam poddałem się kierunkowi [...]”. Po latach trudno ocenić, ile w tych stwierdzeniach było prawdy, ile przesadnej skromności, bo przecież carskie sądy wojskowe sięgały najchętniej po kary najwyższe. Ten więc, który kiedyś butnie oświadczył: „niechaj będę powieszonym, a ludzi na zgubę nie wydam”, przymuszał potem podczas konfrontacji innych do przyznania się. („Wyznaj prawdę — mów! — bo przecież ja nie mam żadnego powodu nierzetelnie cię obwiniać”). Tak postępowała większość aresztowanych. Dlaczego? Wierzono we wszechpotęgę służb

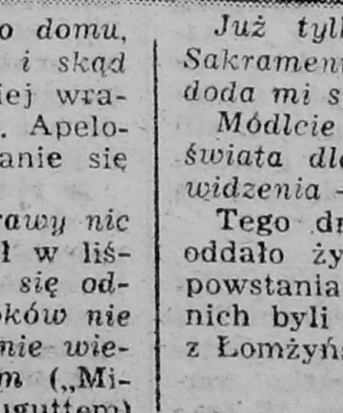
go brata i o przyjęcie na ziemi Królestwa Bożego, pracujecie i strzeżcie się pychy i próżności”.

List drugi, z 3 czerwca, zawierał nakaz zniszczenia papierów autora. Przebiła z niego przede wszystkim jednak troska o swe byłe podopiecz-

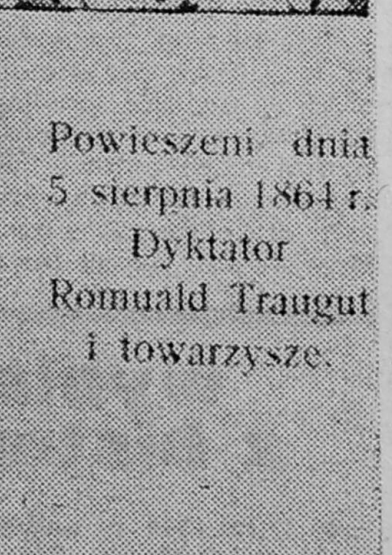
„...mamie
...podjudza
...zabrakło
...chłopi bojko
...gdyż me
...rozpo



awszy szlachtę,
ienstwa. Mimo
ce reakcji kler
lojalność wzglę
len z pierwszych
powstania, rząd
kościółowi kato
iganą walkę i ta-



stacji i stawiają
no chłopów na
robotnika pol-
towali dwory.
chciano służyć,
wszechnili się



Powieszeni dnia
5 sierpnia 1864 r.
Dyktator
Romuald Traugutt
i towarzysze.

Archiwum dokumentów



Reprod. GABRIEL LUBINCZY

Kiedy przed miesiącem pisałem o czterech tomikach poetów z Ostrołęki, anim myślałem, że w czasie tak niedługim otrzymam następną przesyłkę. Widać nie mało wierszy nagromadziło się w tym mieście, a wydawca — Klub Literacki „Narew” — dotarł wreszcie do pokładów możliwości. Na marginesie warto przypomnieć, że nie jest to pierwszy znany mi przypadek realizacji w okresie kryzysu (lub dzięki niemu) tego, co nieosiągalne było za panowania Ich Wielkości Dostatku i Jasnej Perspektywy. Czyli kryzys w jednym nie implikuje bryndzy w drugim, ale dlaczego sprzyja rozkwitaniu nie tylko przestępczości, nastrojów zniechęcenia i wszelkich form emigracji bez paszportu — to inna, wymagająca interpretacji, sprawa.

Dionizy Maliszewski to najbardziej znana postać z ostrołęckiego „klanu” literackiego; nie tylko dlatego, że jest autorem największej liczby książek i jako pierwszy w tym mieście zapracował na legitymację Związku Literatów Polskich, ale także dla swojej organizatorskiej działalności w sprawach lite-

CZESŁAW PARZYCH
ZNAKI
OCZYSZCZENIA



rackich. „Przesłanie” jest jego szóstą książką poetycką, kontynuującą liryczne zapisy, które uprawia od początku swego pisania. Wiele nawiązań znajduje zarówno do wątków z „Chwili przed snem”, jak i „Przydroża” Maliszewski konsekwentnie wyraża zaufanie do „chwili lirycznej”, momentu poetyckiego natężenia myśli, które są najszerzej wyrażeniem autorskiej wizji, marzeń czy fobii.

Jest to więc ten rodzaj twórczości, w którym poeta stanowi indywidualne medium, przekazujące rozbłysk sensu w mrocznej przestrzeni ludzkiego bytowania, a wiersz — rodzaj przełącznika, kontaktu, którym czytelnik może ów rozbłysk odtworzyć lub nawet powtórzyć.

wypisy z historii

▼ 17 III 1944 r. oddział Partyzanckiej Dywizji im. Sidora Kowpaka stoczył w Ostrożanach bój z — nacierającymi od strony Ciechanowca — niemieckimi siłami wojska i żandarmerii. Hitlerowcy pozostawili na placu boju 30 zabitych i wielu rannych; siedmiu z nich dostało się do niewoli.

▲ 18 III 1944 r. kompania 2 pułku 1 Ukraińskiej Dywizji Partyzanckiej im. Sidora Kowpaka stoczyła walkę z wojskami i żandarmerią niemiecką w okolicy Milejczyc. W cza-

Skromna to postawa, choć nie mniejsze niosąca niebezpieczeństwo i ryzyko niż np. hermetyczny kreacjonizm słowiarzy, wymaga bowiem przypadku wyjątkowo szczęśliwego dla wierszy: czytelnika umiejącego posłużyć się tekstem w taki sposób, aby stać się „wspólnikiem” autora. Oczywiście, nie dzieje się to całkiem po omacku; współczesna polszczyzna jest wspólna w znacznym zakresie, istnieją, rodzą się i odradzają pojęciowe powszechniki, tworząc pewien kanon. I jeszcze jedno, coś, co najtrafniej wyraża słowo „szczerść” — pewna rekojmia trafiań wierszem, jak w „Nocnej rozmowie”:

„Mówisz — spójrz spadła nowa
dusza
roziskrzona w niebie gwiazdą

ktoś znów odszedł wieczności
ścieżką
wśród wysokich gór wyroków
boskich

mówisz — niebo rozmodlone masz
nad głową
a nie wierzysz — więc i nie nie
znacysz

tak wiem że moja dusza nie
rozświeciła nieba
spadnie ciemna na ciemności dno
i stanę się na wieki wieków tylko
milczeniem”

Rzadki to dziś, nie spotykany w prostocie wyznania wiersz. Kiedy indziej jednak szczerść ludzi, za-

bro jedynie indywidualnym w nim wyjątkiem. Pokażę to na kilku cytatach: „dlaczego milczą cynicznie o życiu / przekładając wciąż nowe donosy / przewrotnie zachowując wszelkie pozory, / mistrzowie iluzji w przelewaniu krwi” („Krew i płomień”); „plujemy w lustra gdzie odbicie twarzy / albo cień się młota / i sami nie wiemy przeciw komu” („Gdy w ciężkim tańcu”); „smukłe brzozy pieśń chłopców / ciągle wspominają / w rowach przydrożnych porzuciłszy lzy / i gdy w rozwianej żałobie bieli / próchnięje jasność krzyży” („W żałobie bieli”); „w lesie sosnowym trwa uprzątnię cieni, wystrząły kłęzą w pokornym milczeniu” („By nikt się nie ośmielił”).

Tak rysuje Czesław Parzych swoje milieu de l'homme, w którym docieka źródeł najsilniejszych poruszeń wyobraźni, próbuje odnaleźć to, co niepowtarzalne we własnym losie i wspólnie z ludźmi najbliższymi przez krew i dzielenie tego samego czasu, jak np. w utworze „Jednakowe prawo”:

„tyle jesteśmy co ptaki w przelocie
pulsując we wnętrzu przestrzeni
nie znamy miejsca skąd i nie wiemy
dokąd
która gwiazda drogi naszej strzeże

w jakiej księdze spisano nam losy

i miłość od kogo pochodzi by
czyniąc

druga fala

HENRYK GAŁA

wodząc autora aż do banału. „Tę dziewczynę niosącą w słońcu ulicy / pachnący bukiem swoich dwudziestu lat” — pisze Maliszewski w wierszu „Właściciel”, ale w sąsiednim, „Zona”, wraca do formy: „Zona w oknie odśladła gwiazdę / mówi / spójrz ile na ulicy porzuconych wierszy”.

Jednak nie takie, jak cytowane, wiersze stanowią większość w tomiku Maliszewski nie byłby dzieckiem (dziś już pięćdziesięcioletnim, przez co więcej rozumiejącym) tego — nasiąkniętego dramatyzmem — kawałka Polski, gdyby poprzestał na refleksyjnej lirycie, ale ona właśnie mówi językiem żywym, lepiej spełnia się jako zapis i jako przesłanie.

Czesław Parzych autor arkusza poetyckiego i dwóch tomów wierszy złożył swoje „Znaki oczyszczenia” z dwóch części — „Krew i płomień” oraz „U źródeł”. Nie wiem, czy trafne jest moje odczytanie tego zabiegu, ale znaczy on pierwszeństwo moralnej przed fizyczną stroną odbioru świata albo inaczej: zło jest powszechne, a do-

przysługę podać płonącą gromnicę
byśmy w obliczu mieli jednakowe
prawo”

W wielu wierszach z tego tomu jest jeszcze coś, czego nie daje w nadmiarze poezja współczesna, mianowicie: urodziwy aforyzm poetycki, ożywiający cały wiersz. Niekiedy jest to tytuł, jak: „Gdy my w ciężkim tańcu”, „W żałobie bieli”, „Idzie kobieta przez sen”, „Słowa twoje jak źródła zielone”. Częściej pełni rolę wersu-prologu lub wersu-epilogu: „twarz mojej matki jest z burz i ze świtów”, „każdy bruk ma w sobie siłę tłum”, „cisza krzyży rozrywa krzyk śniegu biały (...) ręce matki dzielą kromkę chleba / równo między wszystkie krzyże, nadzieja jeszcze nie skończona”, „tyle jesteśmy co ptaki w przelocie”, „w każdym z nas drzemie biały gołąb mroku”. To tylko część, różnych — i z odległych niekiedy źródeł biorących swoje poczęcie — poetyckich zdań, które przypominają o jednym z filarów wiersza: harmonii. Nawet jeśli mówią one o kakafonii i bezładnym zgłębku.

Czemu tekst swój tytuł „Druka fala”? Otóż — jakby odbicie poetyckiej fali, płynącej od Ostrołęki w górę Narwi — znalazł się na moim biurku arkuszy poetycki „Homo stracens” Andrzeja Cholewickiego. Wydawnictwo firmuje Klub Młodego Literata przy Miejskim Domu Kultury — Dom Srodowisk Twórczych w Łomży, co jest kolejnym przejawem ciekawej działalności tej placówki.

Arkusze, jak „przystało” na manifestację debiutancką, zawiera wiersze bardzo różne, od licealnie duktowych w moc odwołania się do autorstwa, np. Biblii czy prowokacyjnych apostroficznych („Pochwała głupty”), do utworów, w których próba większego rozmachu poetyckiego rozmywa się w brulionowych zaślizgach i zwykłej nieporadności (jak w wierszu zaczynającym się od słów: „nie dziwię się dniom”).

Są też jednak wiersze wyzbyte napuszonosci, choćby „Dziny na każdą okazję” czy „Nie bycie sobą” i w nich znajduje dobry prognostyk na dalsze pisanie Andrzeja Cholewickiego. Co chyba można by

DIONIZY
MALISZEWSKI
PRZESŁANIE



sprawdzić już dzisiaj, gdyż arkusze datowany jest przez wydawcę na rok 1981 i autor z pewnością nie będzie od tej pory wiersz napisał. Zastanawiam się tylko, co oznacza ta data? Czy książeczka leżała w magazynie czekając zgody na rozpowszechnienie? A może do drukarni trafiła przed laty. I co z tego, skoro większość składających się na nią wierszy posiada daty powstania. Nie rozumiem, po co to antydatowanie.

Poza tym życzę inicjatorom tego edytorskiego przedsięwzięcia wielu następnych udanych publikacji, aby powstała wreszcie łomżyńska fala literatury, jeśli już zdecydowałem się na taką metaforę w naszej nadzecznej okolicy.

Fot. GABOR LÖRINCZ

sie walki partyzanci zabili 20 fa-

▲ 18 III 1944 r. 2 kompania 2 Pułku Partyzanckiej Dywizji im. Sidora Kowpaka stoczyła bój z — nacierającymi od strony Ciechanowca — niemieckimi siłami wojska i oddziałem SS, stacjonującym w Białymstoku. Na skutek wybuchu min zginęło 50 hitlerowców. Partyzanci wycofali się bez strat, wykorzystując zapadające ciemności.

▲ 14 III 1945 r. w Grajewie odbyło się zebranie PPR-u, na którym powołano stałe władze partyjne. Sekretarzami KP PPR zostali: Władysław Machina i Aleksander Maciorowski.

▲ 18 III 1945 r. w Łomży odbyło się plenarne posiedzenie Komitetu

Powiatowego PPR. I sekretarzem został Stanisław Bączek.

▲ 14 III 1948 r. ukazał się po raz pierwszy „Białostocki Głos Ludu”, mutacja „Głosu Ludu” — organu KC PPR, ukazująca się do 15 grudnia 1948 r.

▲ 16 III 1960 r. obradowała w Białymstoku — pierwsza w kraju — narada pionierów mechanizacji rolnictwa.

▲ 19 III 1972 r. społeczeństwo Białostockie w trzech okręgach województwa — Białymstoku, Augustowie i Łomży — wybrało 17 posłów do Sejmu PRL.

▲ 16 III 1969 r. w Teatrze im. Aleksandra Węgierki odbyło się typiczne przedstawienie sztuki Aleksandra Cassony: „Drzewa umierają

stojąc”, z nestorką sceny polskiej Mieczysławą Cwiklińską, w roli głównej.

▲ 12 III 1973 r. ogłoszono rozstrzygnięcie konkursu: „Wieś białostocka gospodarna i kulturalna” za 1972 r. Nagrody otrzymało 10 wsi. Pierwszą lokatę uzyskała Jaworówka (pow. białostocki), następnie: Bęczkowo (pow. grajewski), Wyszomierz (pow. zambrowski), Rolników otrzymało odznaki „Zasłużony Białostoczczyźnie” i „Zasłużony Pracownik Rolnictwa” 577 tytuły „Mistrzów Produkcji” a 1500 — „Worowich Rolników”.

▲ 14 III 1975 r. otwarte w Łomży firmowy sklep przedsiębiorstwa „Pollena” jako jedyny w województwie białostockim





Pewna mieszkanka norweskiego miasteczka 8 lutego 1919 r. urodziła córeczkę. W kilka godzin po porodzie, gdy stan jej zdrowia już nie budził obaw, młoda kobieta

zasnęła głęboko, by obudzić się... 23 listopada 1941 r. Uświadomiła sobie fakty, które zdarzyły się przed letargicznym snem. Pani Langgard poprosiła, by przyniesiono jej nowo-

rodka do karmienia. Ze zdziwieniem patrzyła na dorosłą córkę, która wówczas liczyła już 22 lata.

Podobny przypadek letargicznego snu, trwającego 20 lat, zdarzył się mieszkance wioski Mogilew w obwodzie dniepropietrowskim. Nadzieja Lebedin po przebytej grypie, początkującej stany lękowe i bóle głowy, zapadła w sen. Z początku przebywała w szpitalu. Później, gdy wysiłki lekarzy na nic się zdały, zaopiekowała się nią matka i 10-letnia córka. Karmiły chora, stosowały masaże, gimnastykę. Nadzieja spała do momentu, kiedy zmarła jej matka. Dopiero rozpacz córki, która nagle pozostała sama z chorą, udzieliła się śpiącej. W sierpniu 1973 r. otworzyła oczy i przemówiła. Przyczyną letargu, jak twierdzą lekarze, było zapalenie mózgu i porażenie centralnego systemu nerwowego.

Nie wszystkie przypadki tych niecodziennych snów kończą się tak optymistycznie. W angielskim szpitalu śpi od 1959 r. młoda dziewczynka, która tegoż właśnie roku wpadła pod motocykl, w wyniku czego doznała szoku i wstrząsu mózgu.

Medycyna notuje niewiele przypadków wyprowadzenia pacjenta ze snu letargicznego. Dopiero po trzech latach i 11 miesiącach udało się obudzić 17-letnią Marię Elenę Tello, którą „uśpiły” wzruszenia po śmierci prezydenta Kennedy'ego.

Bywają również przypadki krótkotrwałych stanów sennosci w ciągu dnia. Chory na narkolepsję, a jest to zaburzenie wrodzone, może nagle zasnąć wcale nie zdając sobie z tego sprawy. Jak się oblicza — 10 proc. wypadków drogowych w USA powodują ludzie skłonni do narkolepsji. Jest to schorzenie nadal nie zbadane. Objawy choroby pojawiają się w okresie dojrzewania albo w bezpośrednim następstwie silnych urazów emocjonalnych. Na szczęście — są to przypadki bardzo rzadkie.

TANIE DANIE

Śniadanie Herkulesa

Wieczorem przed położeniem się do łóżka wysypujemy do głębokiego talerza 2—3 łyżki płatków owsianych. (Radzę używać tak zwanych płatków górskich). Zalewamy je szklanką zimnego mleka, talerz przykrywamy i stawiamy na noc w zimnym miejscu. Rano dodajemy do napęczniałych płatków łyżkę cukru lub miodu, najniższą szczyptę soli, a następnie, bezpośrednio przed jedzeniem, ucierymy wprost do talerza duże, doskonale umyte jabłko wraz ze skórką. Jest to przepis klasyczny, który można i należy z fantazją odmieniać.

Jabłko mogą czasem zastąpić: soczysta, dojrzała gruszka, poziomki, maliny, porzeczki, truskawki i nawet czarne jagody (wcześnie wiosną, nie częściej niż raz na tydzień, można dodać do płatków utartą łyżkę rabarbaru). Jagody należy lekko pognieść widelcem, by puściły sok, który zabarwi potrawę. Dla dzieci, które powinny przybrać na wadze, wskazany jest dodatek mleka zmieszanego ze słodką śmietanką. Zimą i późną jesienią można „śniadanie Herkulesa” posypać garstką pokruszonych orzechów; można też wieczorem dodać do płatków parę pokrajałych na plasterki, daktyle lub łyżkę — uprzednio oplukanych we wrzątku — rodzynek. Natomiast w sezonie cytrynowym, który zbiega się u nas ze zwiększonym zapotrzebowaniem organizmu na witaminę C, należy, w miarę możliwości, „wykończyć” śniadanie dodając tuż przed jedzeniem łyżkę świeżo wyciśniętego soku cytrynowego.

JAKICH TŁUSZCZÓW UŻYWAĆ?

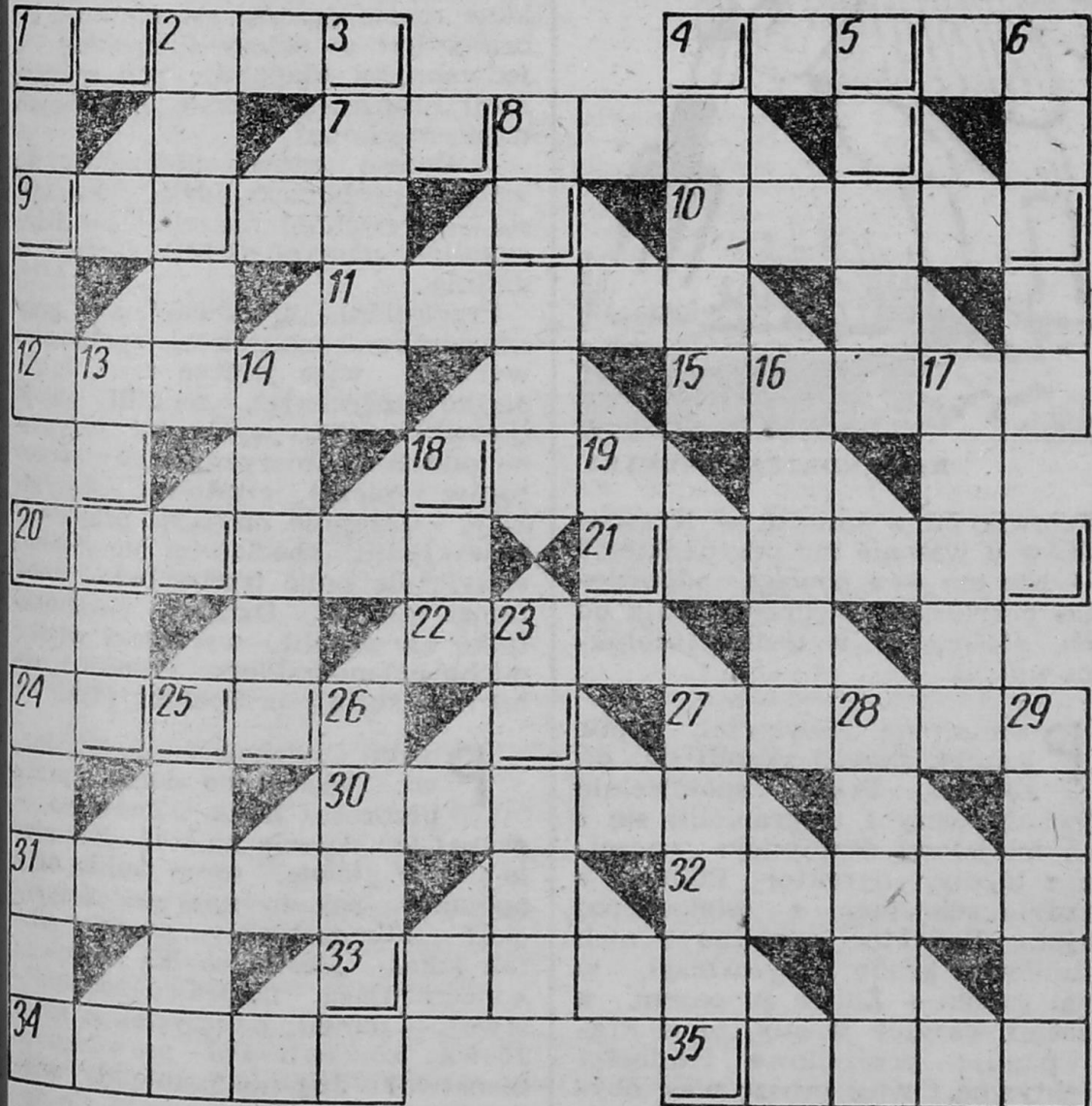
Przed wszystkim masła, a także margaryny witaminizowanej. Tłuszcze te spożywamy na surowo, ponieważ przy smażeniu wysoka temperatura niszczy zawarte w nich witaminy. Zrozumiałe jest też, że organizm łatwiej przyswaja sobie takie tłuszcze, które to-

pieniają w temperaturze zbliżonej do temperatury naszego ciała (około 37 stopni), jak właśnie masło i witaminizowana margaryna. Do sałatek, majonezów i innych przypraw radzimy stosować olej sojowy (może być też słonecznikowy). Do smażenia należy używać

tłuszczy roślinnych (ze względu na cholesterol), a więc olejów: sojowego, słonecznikowego, arachidowego, kukurydzianego i oliwkowego.

Wyniki badań przeprowadzonych w różnych krajach potwierdzają

fakt, że tłuszcze roślinne, w odróżnieniu od tłuszczy zwierzęcych, chronią naczynia krwionośne przed osadzaniem się cholesterolu. Możemy stosować również smalec wieprzowy, oczywiście, jeśli nie stoją temu na przeszkodzie szczególne względy zdrowotne lub... wiekowe.



Po wypełnieniu diagramu krzyżówki, litery z oznaczonych krątek, czytane rzędami poziomymi, tworzą rozwiązanie — przysłowie murzyńskie.

POZIOMO: 1) największa rzeka naszego województwa, 4) związek chemiczny pochodzący z kwasu i alkoholu, 7) przedmiot sztuki dawnej, 9) indyjski asceta praktykujący jogę, 10) jedna z półprostych tworząca kąt, 11) może być polna, asfaltowa, utwardzona, 12) imię żeńskie, 15) jezioro we wsch. Afryce, 18) rodzaj sieci na ptaki, 20) przeskoda, 21) ceremonia, obyczaj, 22) część doby, 24) wiszące łóżce, 27) upał, żar, 30) surowiec na swetry, 31) muza, opiekunka komedii, 32) koń zapasowy, 33) ujęciowe ramie Wisły, 34) pierwiastek chemiczny zwany dawniej kasjopem, 35) niepokój, lęk.

PODŁOŻE: 1) odstąpienie mieszkania w użytkowanie, 2) karność, dyscyplina, 3) niechęć Niemca, 4) tytuł znanego tygodnika, 5) miasto w USA na Florydzie, port nad Zat. Meksykańską, 6) pływająca bylina naszych wód tworząca kożuch na wodzie, 8) sąsiadka pomoc w czasie żniw, sianokosów, 13) konopie manilijskie, 14) przedmiot koszarowski, 18) dopływ Wisły, 19) derka, narzuta, 23) pole nie uprawiane, 24) „Polonez” w Łomży, 25) pochodzi z niego Tales, 26) drobna cząstka energii, 27) akrobacyjny przewrót, 28) miejscowość naszego woj. w pobliżu której walczył kapitan Raginis, 29) znana polska aktorka filmowa.

(HCL)

Wśród Czytelników, którzy w terminie 10-dniowym nadesłali pod adresem redakcji prawidłowe rozwiązania (tylko hasło), rozlosujemy nagrody książkowe.

Kurara znaczy śmierć

Indiańskie szczepy, zamieszkujące tereny w dorzeczu Amazonki i Orinoko, skutecznie radziły sobie z natrętami Europejczykami, którzy w XVII w. zaczęli panoszyć się na ich ziemi. Potrafili zabić strzałą ze znacznej odległości. Ostrza strzał powlekali — nie znana wówczas — trucizną. Ale nie tylko. Ową tajemniczą substancję mieli także za paznokciami. Wystarczyło lekkie drażnienie, by dostała się do krwi człowieka i spowodowała groźne zatrucie. „Tylko szybkie podniesienie skóry haczykiem i głębokie wycięcie ciała wokół rany zadanej strzałą może uratować życie człowieka” — pisał w 1600 r. Bernard de Verges.

Europejczycy długo nie mogli rozszyfrować tajemnicy tej substancji, pilnie strzeżonej przez tubylców. „Nasza kurara zabija bezgłośnie, a przy tym nie wiadomo, skąd nadlatuje strzał” — przeciwstawiali broń palnej zalety kurary. Dopiero w drugiej połowie XVIII wieku Bancroft który przebywał w Gujanie przez wiele lat, posiadał tajemnicę sporządzania tej trucizny.

Podstawowym składnikiem jest kora liany mającej do 12 metrów długości, występująca w tropikalnej



puszczy. Sporządza się z niej wyciąg czarny i gęsty jak smoła.

Trucizna działa dopiero po dostaniu się do krwi. Zwierzęta ugodzone zatrutą strzałą padają bezgłośnie, a ich mięso nadaje się do spożycia. W Brazylii siłę trucizny bada się w ten sposób: jeśli małpa ugodzona strzałą drzewa wskoczy jeszcze na jedno drzewo, trucizna jest bardzo silna; gdy przed śmiercią skoczy na trzy drzewa — wówczas jest słaba.

W Południowej Ameryce istnieje inny rodzaj kurary, zwanej zwierzęcą. Pewne gatunki żab tubylcy kładą na rozżarzonych węglach i zbierają później trujący płyn, który dostaje się na ich skórę. Jaguar ugodzony strzałą zatrutą kurarą zwierzęca pada już po 4 minutach.



Przed dwoma laty, tuż po walnym zgromadzeniu Okręgowego Związku Piłki Nożnej w Łomży, uczestniczyłem w posiedzeniu inauguracyjnym działalności Rady Trenerów. W konsekwencji napisałem felieton pod tytułem „O kopaną trzeba dbać”. Przez te dwa lata wiele się wydarzyło, a wiadomo: człowiek nie komputer, i skleroza bierze we władanie coraz więcej szarych komórek, więc już nie pamiętam, kto wówczas ochrzcił złożony w redakcji materiał. Faktem pozostanie jednak, że wspomniany tytuł pasował do felietonu jak dobrze skrojony garnitur, czyli — jak ułat.

Mówiąc inaczej: z samego nagłówka wynikało, że z kopaną nie jest dobrze, co zresztą nieczym wyjątkowym w tych stronach kraju nigdy nie było, pomimo kilkakrotnych, wywołujących euforię klubów, przebiegów, po dłuższych lub krótszych okresach delirium, w które wpadała piłka w związku ze stale zmieniającą się modą na określone dyscypliny sportu.

W felietonie było mnóstwo pretensji kierowanych pod różne adresy i tyleż samo (lub jeszcze więcej) pobożnych życzeń, nazwanych wtedy umownie siedemnastopunktowym programem działania wspomnianej Rady Trenerów — organu doradczego OZPN-u.

Jak wykazała dwuletnia praktyka — pomimo najszerszych chęci niektórych pasjonatów — życzenia prawie w stu procentach nimi pozostały, gdyż nie było wytrwałego, który to, co zaplanowano, doprowadziłoby do happy endu. Jaskółka, jaką był awans ŁKS-u i Olimpii do trzeciej ligi, o niczym jeszcze nie świadczy. O kruchych fundamentach, na których stoją szandarowe jedenastki miałem [nie]przyjemność niedawno pisać.

Do stwierdzenia, że łomżyńska piłka nożna jest chora, upoważnia mnie porównanie tego, co było

mają do czynienia ludzie zamieszkujący obszary sejsmicznie zagrożone. Nie znaczy to, że kocham tylko kopaczki, a tenisowi życzę jak najgorzej. Jeśli już, wolałbym, aby powiodło się tym od celuloidowej piłeczki, a piłkarze niechby grali w okręgówce, gdyż taka okazja może się więcej nie powtórzyć.

Wszelkie niedostatki, z jakimi boryka się piłka nożna, mają źródło w sferze organizacyjnej, bo czy przez dwa lata nie można było dojść do konkretnych uzgodnień z oświatą? Praktyka innych dyscyplin sportowych uczy, że tak. Dalej: czy nie

replay

drzewiej, z sytuacją obecną. Dla kogoś nieorientowanego wprowadzenie dwóch drużyn do III ligi może świadczyć o radykalnej poprawie. Jest to na pewno sukces, koronujący spory wysiłek, ale ma wszelkie znamiona blichtru. Wprawdzie dzięki temu zainteresowanie piłką kopaną wzrosło i obecnie wszystko wydaje się jej sprawie sprzyjać, ale nie wiadomo, czy taki stan rzeczy utrzyma się dłużej, bo historia lubi się powtarzać. Papierkiem lakmusem mogą się okazać pierwsze niepowodzenia piłkarzy w rozgrywkach.

Wszystko może się rozstrzygnąć już niedługo, bowiem w przypadku awansu do I ligi tenisistek z ŁKS-u — w naszym sporcie może dojść do sytuacji, z jaką od czasu do czasu

dało się przeszkolić przynajmniej kilku instruktorów, nie mówiąc już o sędziach. W ten sposób dochodzi do źródła wszelkich w piłce niepowodzeń — złej pracy z młodzieżą. W OZPN-ie jest zarejestrowanych ponad 1400 piłkarzy, ale tylko 756 uprawia ten sport czynnie, a w tym tylko 100 juniorów i 304 trampkarzy, czyli prawie połowę stanowią seniorzy. Wprawdzie od września br. planuje się zorganizowanie rozgrywek klasy okręgowej juniorów młodszych i ewentualnie przybyłoby osiem drużyn, czyli około 200 młodych piłkarzy, ale tylko „ewentualnie”, bo może znów wystąpią jakieś trudności o-biektywne. A kto się nimi zajmie?

O ściągnięciu trenerów do naszego województwa nie ma obecnie

nowy, a stan posiadania w tym względzie jest bardziej niż skromny. Z 31 drużynami pracuje 13 szkoleniowców z kwalifikacjami: czterech trenerów II klasy i dziewięciu instruktorów, z tego sześciu w ŁKS-ie i Olimpii. Ponadto jedenastu zapaleńców robi to bez jakichkolwiek uprawnień. Brak odpowiednich papierów oczywiście nie świadczy o braku fachowości, chociaż wyniki uzyskiwane przez narybek piłkarski w konfrontacji z rówieśnikami z innych województw są wymowne.

Czy naprawdę brakuje kandydatów na szkoleniowców, pomimo konkurencyjności płac w innych dziedzinach działalności? Liczne chętnie młodzieży do uprawiania sportu, a także ilość kibiców przybywających na stadiony, świadczą na korzyść piłki. Wydawać by się mogło, że szkoleniem instruktorów najbardziej powinny być zainteresowane kluby, ale właśnie one odbijają piłeczkę i za brak kadry szkoleniowej obwiniają administrację sportową. A kto, jak nie kluby, ma wyszukiwać kandydatów na szkoleniowców i sędziów? Inna rzecz, że administracja powinna, jak to się mówi, inspirować, a nie OZPN-ie, po zlikwidowaniu etatiku trenera koordynatora, pracuje tylko jedna osoba, która odwała całą papierkową robotę za wszystkie jego wydziały.

Dlatego też śmiem twierdzić, że za rok wnioski będą takie same, jak dziś i wczoraj.

WYMIATAĆ

Do spółdzielni przywieziono właśnie piwo i chłopa, maciejówki daszkami zsunawszy na nos, westernowym fasonem podpierał ścianę. Każdy trzymał w garści, toczącą białą pianę, fiaczkę, a panna Renia co rusz z czeluści wielkiej lodówki wyciągała kolejną, pokrytą chłodną rosą, butle energetycznego piwka. Panna Renia miała dzisiaj mnóstwo roboty. Co chwilę ktoś o coś pytał: a to o widły, a to o kosy, a to o łańcuch...

Przysiężni znów przyjechali w kilka furmanek i — zbójcko tyjąc oczami — ładowali na półkoszki po kilkanaście szpul sznura do snopowiązalek. Jutro, po jutrze przyjeżdżie do Przysiężni ich krajan, Gruby Burbas, i swoim zdezelowanym tarpanem powiezie sznurek w Polskę. Niech wiezie, chłopaki nie przeciwno temu nie mieli, chociaż niejednego ręką świerzbili, żeby przysiężnikom przyłożyć po schabach, bo to naród wredny. Kiedyś, jeszcze za cara, konie kradli; teraz co dzień tutaj przyjeżdżają i wywożą dobro całymi wozami. Ich baby już po północy biega truchtem przez bór i mokradła, żeby nad ranem ustawić się w długą, swarliwą kolejkę. Wykupują wszystko — gumki, magnetofony, bawełniane koszulki, skarpetki, tenisówki i przecier pomidorowy — a później też jadą z towarami w Polskę. Można je spotkać w Warszawie i na krakowskiej tandecie, a nawet pod zakopiańską Gubałówką.

Warto by przyłożyć przysiężnikom chociażby dla samej zasady, ale jak tu bójki wszczynać, skoro przed spółdzielnią zatrzymał się telewizyjny robur, z którego wysypała się gromadka facetów — mydlakowatych, w spranych dżinsach i kolorowych koszulkach. Zaczeli wynosić cały ten swój telewizyjny kram, a jeden z nich wykrzyknął radośnie: — Chłopa, browarek! Prawdziwy radeberger!

Do tego z lodu! — niedbale odpowiedział Józwa. — Pięta, u nas tego nie brakuje.

Więc ci z telewizji natychmiast chwycili za zroszone butelki i pił łapczywie, aż im grdyki grały. Wypili, odetchnęli i łaps za następne fiaczkę! Już się nasycili, ale Józwa zachęcał do dalszego picia: — Pięta, pięta, ja stawiam.

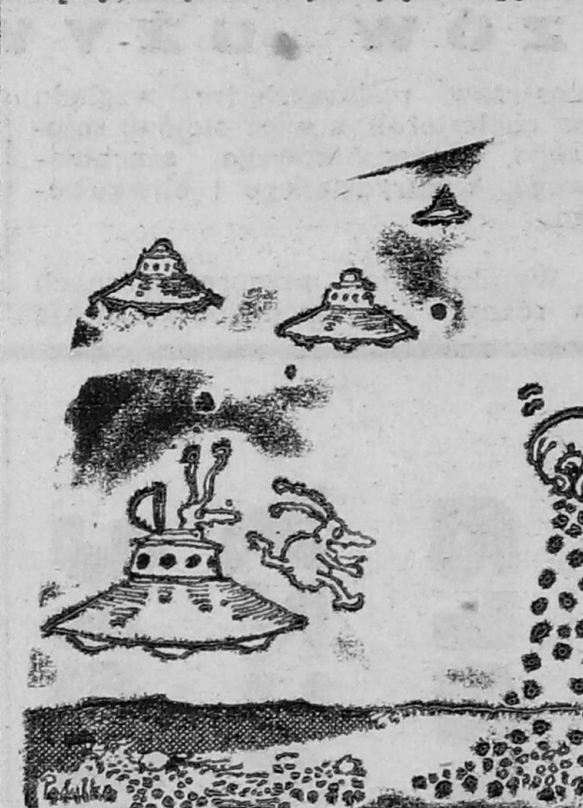
Przysiężni też się ku ladzie podsunęli, wyciągnęli zachłanne graby po darmowe butle, ale Józwa usadził ich z miejsca: — Wy też możecie, ale za swoje, gnojki!

Odsunęli się więc, bo naród z nich skąpy, każdego ziemniaka zjadłby dwa razy, zapalili sporty (każdy papieros na pół przełamany, osadzony troskliwie w szklanej lub drewnianej fiŃce) i zaczęli rajcować. Wiadomo, przysiężni zawsze rajcują jak baby, a ich baby rajcują jak wszyscy diabli.

— Mówią, że na bagnach znów się smok pokazał — powiedział jeden z przysiężniaków.

— Wielki pono jak chałupa, a z nozdrzy dym mu wali...
Wszyscy pokiwali głowami, tylko jeden zaprzeczył: — Smok wcale nie taki wielki jak chałupa, ale najwyżej jak chlewik. Ten co zdechl łonskiego roku, to był dopiero smok!

Jeden z telewizyjnych, już dobrze napity, wyszczerzył zęby i zapytał:



Rys. ANDRZEJA PODULKI

ANDRZEJ KOZIOL

JÓZWA

— A latających talerzy u was nie było? Coście tak, ojciec, zacofani? Teraz na kosmitów moda, nie na smoki.

— Kosmita kosmita, a smok smo-

kiem — spokojnie odpowiedział przysiężnik — aleśmy kosmitów dawno nie widzieli. Ze dwa tygodnie chyba już nie lądowali. A szkoda, panie, bo jak wylądują na polu, to się na nim następnego roku wszystko lepiej rodzi. Kapusta rośnie tak... — szeroko rozłożył ręce, żeby pokazać, jaka wielka.



Telewizyjni w śmiech: — Krasnoludków u was nie ma przypadkiem? — Nie ma — z powagą odpowiedział przysiężnik. — Przychodzą do nich, aleśmy je wszystkie azotoksem wytruli.

Pośmiali się telewizyjni, popili jeszcze piwa i zabrali się do roboty. Przed spółdzielnię zajechały wozy i wygramolili się z nich miejscowi dostojnicy: naczelnik z totyoty, dyrektor PGR-u z mazdy i sekretarz z wielgachnej czajki. Redaktor każdemu z nich zafundował grabę i wyluszczył, w czym rzecz: — Zniwa za pasem, a przecie wszyscy wiemy, że w kraju panują przejściowe trudności obiektywne, więc proszę was, obywateli, mówcie, co macie na wadzie. Princypalnie i bez krapki. Jakby co — przytniemy. Ponarzekacie sobie śmiało na wszystko, że sznurka nie ma, wody mineralnej ani konserw.

Skrzywił się naczelnik, jakby mu wążroba po większym pijaństwie doskwierała, i powiedział: — W zasadzie to nam niczego nie brakuje.

— Umówmy się w ten sposób, obywateli naczelniku — przerwał redaktor — że przed kamerą głupstw mówić nie będziecie. Taśmę mamy limitowaną, szkoda każdego centymetra. I nie bójcie się: krytyka, byle rozsądna, jest dopuszczalna. Może ponarzekacie na niską jakość serów twardych, co?

— Mogę ponarzekać — zgodził się naczelnik, ale niechętnie, bo przy-

pomniał sobie, że tarty parmezan, który podawano wczoraj do flaków w gospodzie, był przewyborny.

— Jedziemy? — zapytał redaktor.

— Jedziemy — zgodził się naczelnik, poprawił krawat i zaczął recytować w stronę kamery: — W zasadzie gmina nasza nie odczuwa niedostatków w zaopatrzeniu, jeżeli pojawiają się odcinkowe braki, to nie tyle ilościowe, co jakościowe. Niewątpliwie rolnicy pragną, aby poprawiła się jakość serów twardych, co pomoże im w realizacji trudnych zadań żniwnych.

— Stop! — wykrzyknął redaktor.

— Wystarczy!

Telewizja odjechała i dobrze się stało, bo właśnie koło spółdzielni pojawił się diabeł. Szedł chyłkiem, opędzając się od psów. Jego popękane racie grzęzły w piasku. Ubrany był w dżinsy i smoking i jedwabnymi kłapanami, pod którym nosił oranżową koszulę z zielonym napisem „Love”.

— Pewno znów, skubaniec, do księdza proboszcza idzie, ochrzcił się — westchnął naczelnik. — Klerikalizm nam ci diabli szerzą w gminie.

Przysiężni krepowali się przy naczelniku sznurek ze spółdzielni wynosić, więc jeszcze raz, także ciężko wdychając, zapalili swoje półówki. Józwa wyciągnął czerwone pudełko amerykańskich papierosów i zaczął częstować wszystkich, starannie omijając przysiężników. Palili, chociaż im nie smakowały, ale palić trzeba było, żeby tamci widzieli. Dziadek Kukliński tylko nie zapalił, wyciągnął wielką puchę holenderskiego tytoniu i na bił nim starą, przepaloną fajkę.

Powoli nadchodził zmrok. Józwa wracał do domu przez brzozyowy las. Znow go ogarnął ten dziwny nastrój. Znow było mu w głowie, serce waliło niby opętane. Jak to nazywał nauczyciel? „Stochastyczny amok” albo tak jakiś. „Jesteś wielką soczewką koncentrującą nieprawdopodobieństwo” — mówił nauczyciel. A może Józwa koncentrował prawdopodobieństwo? Już nie pamiętał, wiedział tylko, że jutro zaczął się nowa kłopoty. Do spółdzielni przywiozł langusty albo inne paskudziarstwo, którego nikt nie będzie chciał jeść, krowy zaczęły doić się szampanem...

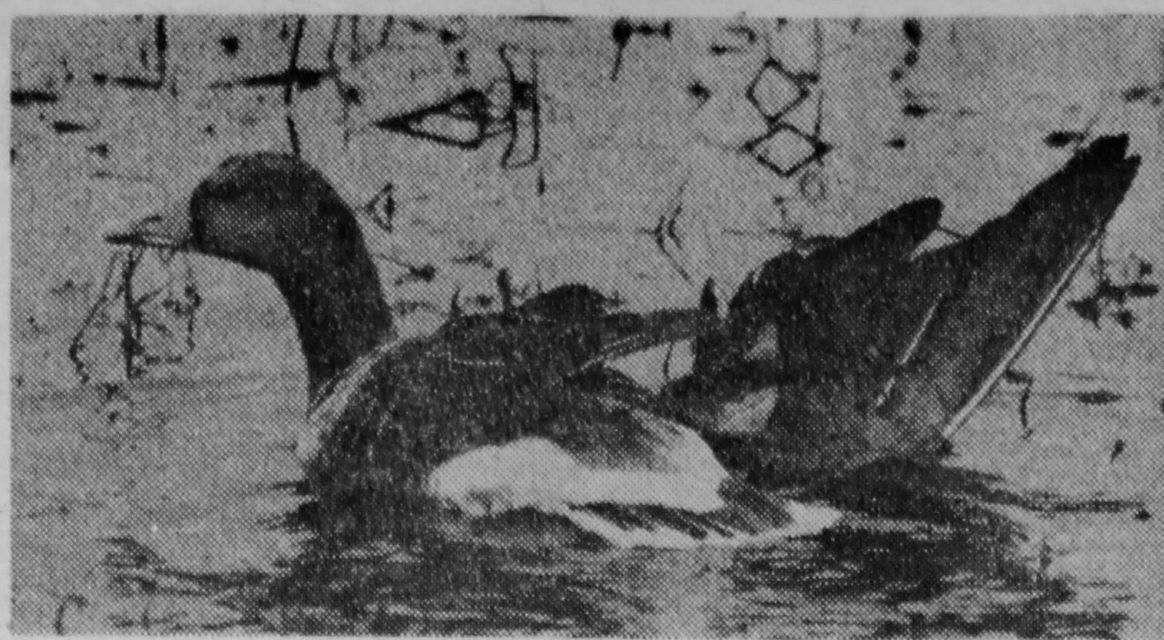
Szedł Józwa przez las, a serce ciągle waliło i szum w głowie nie ustawał. Z trzaskiem chrustu przebiegł jeleń, dźwiękając przednie pięknie rozgałęzionymi rogami porynący krzyż. Krasnoludki drobny truchtem i cichym gwarem pełniały las. Gdzieś w wykopie jarzyło się złoto: gliniany garnel pelen carskich „świnek”. Zza krętu ścieżki wyszła Brigitte Bardot, powiewając wstążkami krakowskiego stroju. Józwa ziewną szeroko i splunął. Zaczynało go już nudzić.



KONTAKTY

honorowa śmierć kaczora

Był słoneczny, ciepły kwiecień. Za parę dni kończył się sezon odstrzału na kaczory, a ponieważ ten rodzaj polowania lubilem szczególnie, postanowiłem w najbliższą niedzielę wybrać się nad Łomżyckę. Upatrzyłem sobie tam starą, krzywą wierzbę, która moczyła swe korzenie w brudnych, spienionych wodach rzeczki. Przysiadłem za nią naprzeciw bajorka zwanego Smrodą. Nawiasem mówiąc, w pełni zasługiwało na swą nazwę. Osiadały w nim bowiem wszystkie ścieki z browaru i krochmalni. Było ono jednak istnym rajem dla ptactwa. Brodziły tu w ciepłym mułku setki bekasów, brodzieńców, kurek wodnych i lysek. Nawet labędzie odwiedzały go chętnie w okresie lata i jesieni. Kaczki trzymały się tu zawsze. Na trochę wyższym, prawym brzegu Smrodów odbywały się toki batalionów. Tego dnia również. Najpierw zjawił się jeden elegant, nastroszył swą piękną kryzę i zaczął zalecać się do dwu skromnych samiczek. Po chwili było ich już trzech, potem pięciu, ostatecznie — dwunastu. Ustawili się naprzeciw siebie, zaczęli doskakiwać jeden do drugiego. Wszystko odbywało się w idealnej ciszy i bez jakiegokolwiek uszczerbku dla walczących. Który



by z nich chciał pobudzić swój galowy strój lub pozbyć się paru piór?

W powietrzu wprost roilo się od czajek, mew śmieszek, rybitw i zygakujących kszyków. Co chwila słychać było ostry świst skrzydeł przelatujących kaczek.

Już od paru minut obserwowałem jednego kaczora. Siadał na środku Smrodów, po chwili zrywał się. Nie zbliżał się jednak do żadnej z kaczek, jakby szukał tej naprawdę jedynej, godnej jego. Mógł wybierać, bo był elegantem pierwszej klasy: głowa ciemnozielona ze śnieżnobiałym kołnierzem, pierś kasztanowa, skrzydła szare z fioleto-niebieskimi lusterkami, ogon kruczoczarny z fantazyjnie zakręconymi piórkami. Właśnie skiero-

wał się w moją stronę. Po strzale spadł w odległości 60 metrów. Było tam wgłębienie w gruncie, wypełnione wodą. Cały czas widziałem je i byłem pewny, że kaczor tam jest. Niestety, lustro wody było równe.

Stałem na brzegu, wyciągnąłem papierosa, zapaliłem. Zauważyłem, że woda we wgłębieniu jest zmaczona. Siadłem na kępie i spokojnie czekałem. Woda stopniowo uspokajała się, szlam opadał na dno. Wreszcie zobaczyłem: najpierw nogi, potem — wylaniający się z mętów — tułów kaczora. Pochyliłem się. Kaczor trzymał się dziobem trawy porastającej dno wgłębienia. Był martwy.

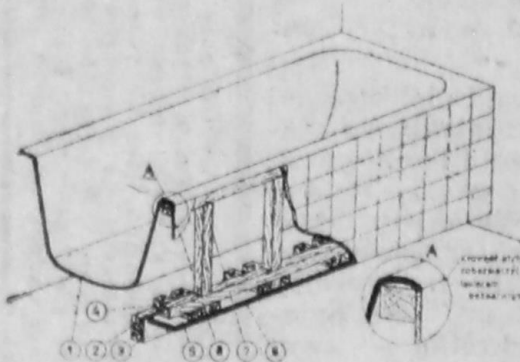
STANISŁAW DOLINSKI

Fot. CAF — R. JANKOWSKI

MOŻNA SPRÓBOWAĆ

ekskluzywna wanna

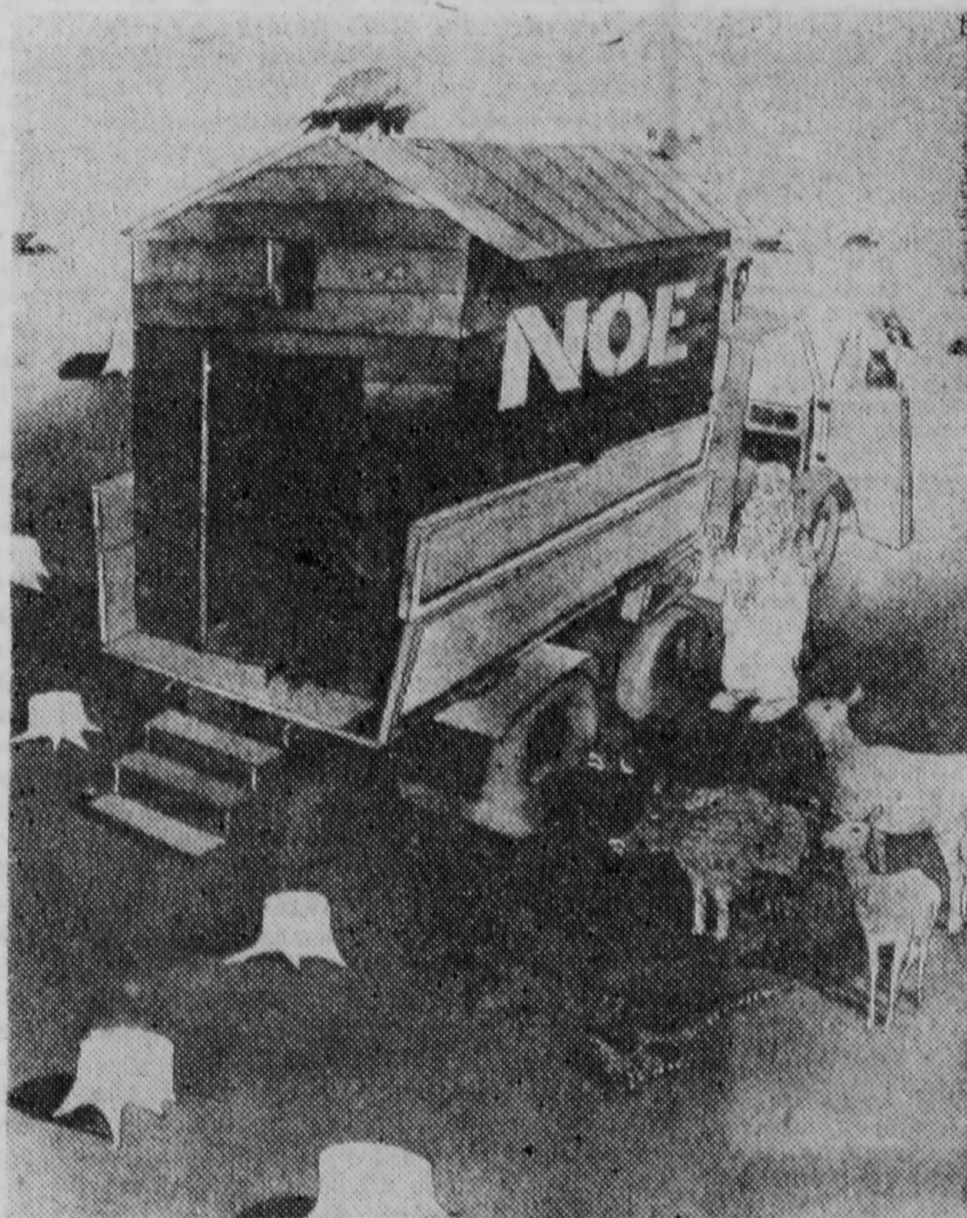
Żyjemy w takich czasach, kiedy bardziej niż na majstra czy sklepy meblowe musimy liczyć na własne siły, umiejętności i zaradność. Czasem jednak brakuje nam inwencji, szczególnie kiedy przychodzi do zaprojektowania czegoś. Będziemy zatem prezentować gotowe pomysły. Dziś proponujemy wykonanie obudowy wanny.



1 — wanna, 2 — cokół, 3 — płyta pilśniowa na cokole, 4 — wspornik, 5 — deska, 6 — płyta pilśniowa na desce, 7 — rama szkieletu, 8 — płyta pilśniowa zakrywająca szkielet.

Rozpoczynamy od przymocowania górnej części cokołu do części dolnej (wkrętami lub gwoździami). Następnie przykręcamy płytę pilśniową (3) do cokołu (2) i przymocowujemy do deski (5) — w odpowiednich odstępach, wynikających z rozstawu słupków szkieletu — wsporniki (4) oraz płytę pilśniową (6). Wsporniki wraz z przybitą do nich deską przykręcamy długimi wkrętami (3,5x60) do cokołu. Szkielet (7) wprowadzamy między górną płaszczyznę wsporników i obrzeże wanny (wysokość szkieletu powinna być tak dobrana, aby można było go zaklinować). Ostatnią czynnością jest przymocowanie ramy szkieletu do ścian i wsporników oraz przybitie płyty pilśniowej (8) do szkieletu.

PASJAMI NATURĘ
LUBIE...



KONIK WODNY

Nie wiadomo, czy nie groźniejsze od nielegalnego połowu ryb w pojedynkę jest kłusownictwo usankcjonowane, nazywane przez panów z gospodarstw rybackich „odławianiem

chwastu”. Najmniej ważne w tym momencie jest to, czy chwastem nazwać można np. leszcza. Gorzej, że odłowy te bywają dokonywane bardzo często w okresie tarła. Trudno proceder taki nazywać tylko kłusownictwem; jest to zwyczajne barbarzyństwo, przyprawiające o skurez

barbarzyńcy

serca potencjalnego wędkarza, czekającego — niejednokrotnie bezskutecznie — na jedną chociażby, choć niewątpliwie ta a a k a, rybkę.

Gospodarstwa rybackie są jednak z reguły właścicielami „czyszczonych” wód, tak że wszelkie interwencje pozostają głosem wołającego na puszczy. Niewątpliwie argument, iż „odławianie chwastu” ma na celu wprowadzenie w jego miejsce ryby szlachetniejszej może przekonać każdego, kto myśli kategoriami ekonomicznymi. Nie przekona jednak tych, którzy widzieli, że przy okazji takich połowów wyciąga się na brzeg masę malutkich płoci, szczupaków itd., i traktuje się je niejednokrotnie gorzej niż „chwast”. Dużą, choć „bezwartościową” — z ekonomicznego punktu widzenia — rybę zawsze przecież można sprzedać, małe, szlachetne rybki, pozostawia się na brzegu.

nie słuchajcie tego faceta

Bruce Lee, obdarzony ogromnym talentem i dynamiczną osobowością, już jako dwudziestolatek stał się niekwestionowanym autorytetem. Wśród jego zwolenników był również Taky Kimura, z pochodzenia Japończyk, wtedy — trzydziestoletni już mężczyzna. Wspomina on: „W 1959 r. do supermarketu, w którym pracowałem, przyszedł mój kumpel i powiedział, że spotkał młodego, fenomenalnego człowieka z Hong Kongu. Poszedłem z nim na uniwersytet i poznałem Bruce'a. Byłem tak zaskoczony jego siłą i szybkością, że poprosiłem, abym mógł z nim ćwiczyć. Po treningach chodziliśmy razem do chińskiej restauracji, gdzie przy szklance herbaty słuchałem jego filozofii. Mimo różnicy wieku byłem jego najbardziej sumiennym uczniem. Trenowałem dwa razy więcej niż inni, gdyż byłem od nich dużo starszy. Słyszałem kiedyś, jak obserwując mnie powiedział do innego ucznia: «On nigdy tego nie opanuje». To zmusiło mnie do jeszcze większego wysiłku. Bruce widział moją zawziętość i zaczął pracować nademną, pokazywać mi ekstra rzeczy. Po pewnym czasie przygotował mnie do objęcia stanowiska asystenta i wkrótce mogłem prowadzić część jego lekcji. Pierwsza szkoła została założona w chińskiej dzielnicy, a potem przeniesiśmy ją do miasteczka uniwersyteckiego, gdzie Bruce i jego asystenci dawali również pokazy, by zarobić więcej pieniędzy. Oplaty w szkole wynosiły 22 dolary miesięcznie dla dorosłych i 17 dla młodzieży”.

Podczas jednego z wcześniejszych pokazów Bruce'a czarny pas w japońskim karate nie zgodził się z jego poglądami i wyzwał go do walki. Mówił też ludziom zgromadzonym wokół Bruce'a: „On nie wie. Nie słuchajcie tego faceta”. Walkę stoczono na pobliskim boisku do piłki ręcznej. Karateka rozpoczął walkę od mocnego kopnięcia. Bruce uniknął go bez trudu. Szybko też uderzył przeciwnika, posyłając go na drogę koniec boiska. Na tym walka się skończyła, gdyż karateka leżał nieruchomo w kałuży krwi. Nie pokazał się też przez tydzień w swojej szkole, a kiedy przyszedł na trening, powiedział, że miał wypadek samochodowy.

Instytut działał do 1963 r., czyli do czasu, gdy Bruce Lee poślubił śliczną blondynkę, studentkę o nazwisku Linda Emery. Wtedy Bruce postanowił wrócić wraz z grupą oddanych uczniów do chińskiej dzielnicy.

AUTOWARIACJE

spryskiwanie szyb

Narzekamy często na niewielką skuteczność spryskiwania szyb samochodowych. Tymczasem sposób na jej poprawienie jest bardzo prosty. Wystarczy połączyć otwór spryskiwacza z piórem wycieraczki. Najlepiej posłużyć się przy tym polietylenową rurką. Płyn do spryskiwania przedniej szyby podawany będzie wówczas powyżej gumy pióra.

Najpierw powiększamy otwór spryskiwacza do tego stopnia, by można było weń wkleić (najlepiej epidianem) metalową rurkę, np. z igły do zastrzyków. Na nią nakładamy następnie rurkę polietylenową i mocujemy ją do ramienia oraz pióra wycieraczki taśmą izolacyjną. Pamiętajmy przy tym o pozostawieniu małego luzu pomiędzy spryskiwaczem a miejscem zamocowania na ramieniu wycieraczki, tak aby rurka nie została zerwana. Koniec rurki topimy nad zapalką i ściskamy w palcach, a na odcinku wzdłuż pióra wycieraczki wykonujemy (np. podgrzaną igłą) kilka otworów — dyszy, przez które będzie mógł wydobywać się płyn spryskujący.

Takie rozwiązanie umożliwi równomierne spryskiwanie całej powierzchni wycieranej szyby, w dużym stopniu zapobiegając jej porysowaniu.